MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 52. WARSZAWA, 8 LISTOPADA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

# PO WYBORACH W ANGLJI

POMIMO przyjęcia przez wielką część Europy systemu parlamentarnego rządów, w mniejszej lub większej mierze wzorowanego na angielskim, system ten nie stał się nigdzie instytucją w tak pełnem znaczeniu słowa narodową, jak był i nadal jest nią w swej ojczyźnie. W jednych krajach stał się, po krótkim okresie ściślejszej imitacji, karykaturą pierwowzoru, w innych lepiej przyjął się i rozwinął, ale nigdzie nie zrósł się tak nierozerwalnie z pojęciami mas o życiu politycznem, jak w Anglji. Stąd liczne na kontynencie europejskim nieporozumienia przy ocenie zjawisk z zakresu angielskiego życia partyjnego, a w szczególności przy komentowaniu rezultatu ostatnich wyborów.

Płonna byłaby zatem analiza rezultatów, gdybyśmy na wstępie nie uprzytomnili sobie pewnych odrębności politycznej psychologji angielskiej, wynikających z odmiennych warunków i tradycyj. Cywilizacja angielska, izolowana cieśniną morską od reszty Europy, i stosunkowo skutecznie zasłonięta przed działaniem wpływów, idących z zagranicy, skostniała w swym typie bardziej, niż pobratymcze cywilizacje kontynentu. Bujny zaś rozwój i nieprzerwana ciągłość życia politycznego w ostatnich trzech stuleciach sprzyjały utworzeniu się bardzo znacznego zasobu pojęć wspólnych z tego zakresu. Wspólnota ta zogniskowała się właśnie dokoła centralnej w tym okresie dziejów Anglji instytucji parlamentu. W ten sposób powstała „jedność narodowa“ tak realna, że właściwie wszystkie kwestje naprawdę mogące podzielić naród na zajadle zwalczające się odłamy, prawdziwe, głęboko sięgające różnice programów, znikły z powierzchni życia narodowego. Tę bardzo rzeczywistą jedność wzmógł jeszcze więcej zwyczaj narodowy, usiłujący widzieć wspolnotę nawet tam, gdzie jej niema, gdy naodwrót gdzieindziej, na kontynencie, raczej wypada nie widzieć wspólnoty tam gdzie ona jest.

Zważyć warto, że gdyby w jakimkolwiek narodzie różnice programów politycznych były w istocie tak przepastne, jak są niemi na papierze, naród taki mógłby żyć tylko w stanie nieustającej wojny domowej, i w rezultacie rzeczywiście musiałby się rozpaść. To też wszędzie, nawet w społeczeństwach ze skromną tradycją polityczną, różnice takie muszą być wśród stronnictw narodowych w znacznej mierze iluzoryczne. Gdy jedna jest rzeczywistość, jedna tylko może być — w głównych swych linjach — polityka. To też Anglja, ze swą imponującą jednością narodową, nie jest w gruncie rzeczy wyjątkiem wśród narodów europejskich; one wszystkie w jedności swej są wcale imponujące: ale Anglja jedna rozwinęła naprawdę tradycyjne centralne instytucje polityczne i jedna zorganizowała taką w i d z i a l n ą jedność instynktów politycznych, gdy u większości innych narodów Europy jedności tej szukać wypada głębiej.

System parlamentarny opierać się musi na zaufaniu do przeciwnika, na gotowości oddania mu rządu w razie zwycięstwa wyborczego. Małe różnice programów politycznych umożliwiły to zaufanie i kolejną, niejako losową, zmianę załóg przy sterze nawy państwowej.

Zjawiskiem, które najbardziej uderza w Anglji obserwatorów rozwoju konstytucyjnego, jest zanik poszanowania dla centralnej instytucji życia państwowego, — westminsterskiego parlamentu. Nikt prawie nie wierzy w jego — nie już nieomylność, ale poprostu zdolność do radzenia sobie z tak poważnemi dziś problemami angielskiego bytu. Prasa i opinja, zwłaszcza młodsza, zgodzą się, że jest to machina pracująca niekompetentnie i mało skutecznie, że trudno stamtąd oczekiwać myśli jasnej i kierowniczej. Odwieczna instytucja jest popularnym przedmiotem żartów i docinków. Dosyć powszechnie patrzy się na nią, jako na coś mało poważnego. Ale idea gwałtownej reformy, ustroju socjalistycznego, czy dyktatury na wzór kontynentalny, to dla umysłu Anglika jeszcze coś o wiele śmieszniejszego. Zbyt silnie utwierdziły się w duszy Anglika jego odruchy i instynkty polityczne, żeby krytyka czy ironja mogły znacznie zmienić jego postępowanie. Ze sfery intelektualnej nie przechodzą prawie wcale w dziedzinę czynu.

Właśnie to zżycie się z ustrojem państwa, ów rozdział czynów i idei najtrudniej sobie wy-

obrazić w społeczeństwie, gdzie idea „reformy“ ustroju jest o wiele bardziej zakorzeniona i tradycyjna, niż jakakolwiek idea „ustroju“. Sądząc z głosów opinji i krytyki, z wywrócenia na nice wielu pojęć konwencjonalnych, z emancypacji moralnej jednostki — angielski system parlamentarny powinien dziś zawodzić w działaniu. Tymczasem wynik wyborów ostatnich, dokonanych, zbyteczne dodawać, bez jakiejkolwiek presji administracji, natomiast w warunkach zwiększonego ryzyka demagogji, przy blisko trzech miljonach wyborców bezrobotnych, przyniósł rozstrzygnięcie przynajmniej z technicznego punktu widzenia — wysoce praktyczne — dał więcej niż wyraźną — przygniatającą większość stronnictwom koalicji rządowej.

Mylne byłoby tłumaczyć sobie to zwycięstwo jakimś nagłym przyborem uczuć patrjotycznych, czy powodzeniem haseł „narodowych“. Niewątpliwie, masy, zwłaszcza bezrobotne, głosowały wbrew własnym, najciaśniej pojętym interesom, na partje, obiecujące zniżkę zasiłków i świadczeń społecznych. Ale wielkie hasła nie odegrały prawdopodobnie poważniejszej roli w tym nagłym zwrocie opinji angielskiej. Na tej wyspie, gdzie wszyscy żyją tylko tradycyjnemi ideami angielskiemi i instynktownie wierzą w wyższość zwyczajów, urządzeń i wyrobów angielskich, zarówno konserwatyści, jak liberałowie, jak rozmaite odłamy partji pracy są stronnictwami „narodowemi“. Istnieje tylko nacjonalizm świadomszy, bardziej ogładzony, ogarniający szersze horyzonty zagadnień międzynarodowych — i nacjonalizm prowincjonalny, ciaśniejszy, mniej światły, często sekciarski i doktrynerski. Partja pracy w przeddzień wyborów, mimo orędowania często interesom klasowym, nie przestała uchodzić w oczach wyborców za stronnictwo o horyzontach ogólno-narodowych. Przywódcy jej, z Hendersonem na czele, którzy pozostali wierni swemu stronnictwu i nie połączyli się koalicją narodową, przed rozłamem zgodzili się na „$^{9}/_{10}$” programu oszczędnościowego zwolenników koalicji. W gruncie rzeczy więc nie szło w walce wyborczej o bardzo poważne różnice programów „ratunku“. — O ile można sądzić, decydującą rolę odegrało zmęczenie beznadziejnością widoków, jakie otwierała przed masą wyborczą perspektywa dalszych rządów partji pracy. Dwa lata tego eksperymentu pouczyły, że niczego nowego spodziewać się od niej nie można. Kusiła wprawdzie bezrobotnych nadzieją przywrócenia zasiłków do poprzedniej wysokości, ale wypadki przekonały, że i stała wysokość zasiłku nie wiele będzie warta, jeśli funt ma spadać wskutek niezrównoważenia budżetu. Spadek funta był z pewnością dotkliwym ciosem dla dumy narodowej Anglika. Ważnym jej składnikiem jest honor kupiecki, a ten znajdował szczególne zadowolenie w międzynarodowym *prestige*'u pieniądza angielskiego. Odczute przez naród upokorzenie z pewnością dopomogło konserwatystom do zwycięstwa. Najbardziej przypuszczalnie zaważyło uświadomione nakoniec powszechnie poczucie kryzysu i chęć zmiany. Otóż konserwatyści wystąpili jako głosiciele programu „nowego“— ochrony celnej, mającego uzdrowić niedomagania przemysłu, zmniejszyć bezrobocie, i umocnić imperjum nowemi gospodarczemi węzłami. Obok tego wysunęli znany swój program oszczędnościowy zasadzający się przedewszystkiem na obcięciu pensyj urzędniczych, zapomóg dla bezrobotnych i zmniejszeniu świadczeń społecznych, prowizorycznie już wcielony w życie. Program ten poparły autorytetem swym najgłośniejsze nazwiska z partji pracy — jej długoletni, wypróbowani przywódcy, zalecając koalicję z konserwatystami. W konsekwencji zmuszeni byli w kilkunastu opuścić macierzyste stronnictwo i swoje losy wyborcze związać z koalicyjnem stronictwem „jedności narodowej“. Pominąwszy Hendersona i paru innych, partja pracy została bez swoich najpopularniejszych postaci. Jak wynik wyborów okazał, podpisanie się ich na programie „interesu narodowego“ większe zrobiło wrażenie na masach robotniczych, niż na parlamentarnem stronnictwie. Pozbawioną luminarzy partję pracy, z jej programem utrzymania dotychczasowego stanu rzeczy, ze skutkiem przezwano „partją bankructwa“. Wyrażenie, jak skarżyła się prasa partyjna, — niekonstytucyjne, suggerujące, że przeciwnik, objąwszy władzę, spowodowałby zgubę państwa — a więc niszczące pojęcie konstytucyjnej, potrzebnej opozycji. — Z koalicją połączyli się liberałowie w dwuch grupach, — jedna pod przywództwem Sir J. Simona pisała się w całości na program ceł ochronnych, druga, prowadzona przez Sir Herbeta Samuela, zajęła stanowisko mniej wyraźne. Lloyd George, z małą tylko grupą zwolenników, wiernych idei „wolnego handlu“, poszedł razem z partją pracy w opozycji do koalicyjnego rządu Macdonalda, utraciwszy całkiem autorytet narodowej miary męża stanu.

Wynik wyborów, czytany w liczbach mandatów, wyraził się z dobitnością przez nikogo nie oczekiwaną. Z poprzednich mandatów (263) unjoniści (tj. konserwatyści) nie stracili żadnego, nowych zdobyli 207, tak że w sumie na ogólną liczbę 615 posłów do parlamentu przeprowadzili swoich 470—czyli znaczną większość. Uniezależnia to ich od poparcia innych grup przy głosowaniach i pozwoli narzucić politykę według uznania.—Grupa Macdonalda, złożona z ministrów rządu koalicyjnego i innych dawnych przywódców partji pracy, idąca do wyborów w skromnej liczbie piętnastu, mandaty swe (z wyjątkiem 2) zatrzymała. Liberałowie w dwuch wspomnianych grupach: Simona (35) i Samuela (33) wyszli, niewątpliwie dzięki koalicji, na drugie po konserwatystach stronnictwo w parlamencie (68 mandatów). Idący w opozycji Lloyd George znalazł się w parlamencie tylko w towarzystwie syna, córki i jednego jeszcze posła („liberałowie niezależni“). Partja pracy nie zdobyła nigdzie nowego mandatu, a z 263 zdobytych poprzednio zatrzymać potrafiła tylko 52! Słaba zawsze w południowej Anglji, teraz utraciła na rzecz konserwatystów nawet główną domenę swych wpływów—okręgi w Anglji północnej i środkowej, z ludnością przeważnie miejską i robotniczą, i podobnież okręgi w południowo-zachodniej Szkocji. Natomiast w Walji, odciętej umysłowo nietylko od Europy, ale i od reszty Wielkiej Brytanji, postaremu została w większości.

W parlamencie stosunek opozycji do stronnictw rządowych jest jak 1 do 10. Jest to jednak wynik systemu okręgów jednomandatowych, zdobywanych względną większością głosów. Natomiast liczba głosów, oddanych w kraju na partję pracy i na stronnictwa rządowe — wyraża się stosunkiem odmiennym: 1 : 2 (6.846.610 i 14.423.517). Oczywiście partja pracy pozostaje siłą na uprzemysłowionej wyspie, gdzie ludność miejska stanowi 80% ogółu mieszkańców.

Czy siła ta, względnie wogóle siła niezadowolonych żywiołów robotniczych znajdzie sposobność do zaprezentowania się w niedalekiej przyszłości? Rząd koalicyjny otrzymał niby pięcioletni mandat do sprawowania władzy, — ale, według dzisiejszych pojęć angielskich, tylko chwilowy kredyt polityczny. Mandat, jaki wyborcy dają swym posłom, coraz powszechniej, i niemal bezsprzecznie, uważany jest za mandat szczególny, nie ogólny. Parlament otrzymuje niejako upoważnienie do załatwienia tylko tych kwestyj, pod których znakiem został wybrany. W razie wypłynięcia nowych, a poważnych, potrzebuje nowego *votum* zaufania od społeczeństwa, i rozpisuje się nowe wybory.

Masy robotnicze, nawet masy bezrobotnych, zaufaniem obdarzyły stronnictwa koalicji rządowej. Z wszelką pewnością partje te otrzymały mandat wprowadzenia ceł ochronnych w interesie przemysłu. Rynek wewnętrzny ma być zabezpieczony przed inwazją wyrobów zagranicznych, dla rodzimych ostatnio bardzo dotkliwą. Ale cła te będą wprowadzone w chwili, gdy spadek funta automatycznie zmniejszył zarobki robotnika angielskiego w stosunku do zagranicznego, zmniejszył koszty produkcji w przemyśle, zwiększył jego zdolność konkurencyjną, i uczynił ochronę celną mniej potrzebną.

Zauważyć należy, że stronnictw rządowych nie połączyła wspólnota szczegółowego programu, ani nie związały się one obowiązkiem wspólnego głosowania w parlamencie. W dyskusji nad trudnemi zagadnieniami chwili odrazu wystąpią różnice zdań. Lojalność zapewne nie pozwala konserwatyzm pozbyć się zaraz niepotrzebnych im ministrów socjalistycznych (jak premjera — Macdonalda, albo ministra Snowdena) czy liberalnych (jak Żydzi: lord Reading i Sir Herbert Samuel), ale głosowania w Izbie Gmin, gdzie unjoniści nie potrzebują oglądać się na nikogo, mogą być i zapewne nieraz będą wyrazem ich własnej polityki — a to nie przyczyni się do zacieśnienia sojuszów.

Otóż w programie unjonistów oddawna jednym z głównych postulatów było obłożenie cłem także produktów żywnościowych — z wyjątkiem tych, których dostarczają dominja. Dopiero cła na żywność umożliwiłyby ściślejsze porozumienie gospodarcze z dominjami, mianowicie ułatwienie zbytu angielskich wyborów przemysłowych w dominjach, wzamian za ułatwiony wwóz zboża, masła, owoców etc. stamtąd na rynek angielski.

Otóż w całej agitacji wyborczej nie mówiono właściwie o cłach na żywność. Gdyby konserwatyści chcieli przeprowadzić ten ulubiony punkt swego programu, szybko może doszłoby do nowych wyborów.

Jak to uwydatniło orędzie Baldwina po wyborach, na konserwatystów spadła odpowiedzialność za losy polityczne Anglji. Jeśli nie wykażą się dość szybko powodzeniem, udzielony przez społeczeństwo kredyt moralny zapewne skończy się przed upływem pięciolecia.

Czy zaś patrjotyczni konserwatyści znają sekret wybawienia Anglji z jej kłopotów? Czy naprawdę, jak twierdziły niektóre pisma, wynik wyborów angielskich uważać można za punkt zwrotny w kryzysie angielskim — i światowym? O wiele prawdopodobniejsze wydaje się przypuszczenie, że i nowa większość parlamentarna dość szybko okaże się wobec niesprzyjających gospodarstwu angielskiemu warunków równie bezsilna, jak konserwatywna większość, piastująca władzę przed wyborami z r. 1929.

Najsilniejszym punktem programu „ratunkowego“ jest wzmiankowane już wprowadzenie ceł na żywność, z uprzywilejowaniem importu tychże artykułów z krajów imperjum o ustroju dominjalnym. Otóż nawet ten najwymyślniejszy zabieg, w razie powodzenia, mógłby przynieść tylko dość nieznaczne korzyści. Niema mowy, aby dominja udzieliły towarom angielskim takich zniżek celnych, żeby wyrób angielski mógł konkurować z miejscowym. Uprzywilejować mogą tylko import towarów, które nie współzawodniczą z krajowemi. W dominjach z rozwiniętym przemysłem (jak Kanada) ustępstwo takie nie oznaczałoby dla Anglji wielkiego dobrodziejstwa, a dominja z ograniczoną własną wytwórczością przemysłową (jak Afryka Poł., Nowa Zelandja) reprezentują też najmniejszą ludność i najmniejszą siłę kupna. Z drugiej strony zabezpieczenie rynku angielskiego dla zboża, mięsa i innych produktów rolniczych z dominjów, oznaczałoby kres usiłowań podniesienia stanu rolnictwa krajowego. Możliwy byłby tylko kompromis, w tym mało znów są zainteresowani tak wielcy producenci rolni, jak dominja. Mimo więc, iż należy oczekiwać podjęcia znów konferencji imperjalnej (w Ottawie) dla omówienia powyższych zagadnień, rezultaty jej mogą być tylko bardzo częściowe.

I w nadchodzącym okresie rządów nowej, znakomitej większości parlamentarnej w Anglji nie stracą aktualności uwagi, wypowiedziane o przyszłości tego kraju w klasycznym głosie: „Nowe czasy i nowe zagadnienia“.

WITOLD CHWALEWIK

# JESZCZE O NAJNOWSZEJ KSIĄŻCE BERNANOSA

## „WIELKA TRWOGA KONSERWATYSTÓW“

I

ZNAKOMITY historyk francuski, któremu wojna wytrąciła pióro z ręki, Augustyn Cochin, studjując genezę Rewolucji[1]), stwierdza między innemi, że w tygodniu pomiędzy 24-tym a 31-ym lipca roku 1789 poczęła się w całej Francji panika nieuzasadniona i niewytłumaczona (*grande peur*).

[1]) por. de Meaux: *„Augustin Cochin et la genèse de la Révolution“*, Paryż 1928, str. 17 nn.

„Panuje — pisze Cochin — niepokój. Chłopi uzbrajają się na wiarę pogłosek. Widziano (w okolicy) „zbójów“, ale żaden nie widział ich świadek naoczny — rzecz prosta, skoro ci zbóje zgoła nie istnieją. Inni zapewniają, że nad granicą czyhają bandy sardyńskie. W tejże samej chwili rozchodzi się wiadomość o ataku — a nic napozór pokoju nie mąci — Anglików na port w Breście.. Lud chwyta za broń w celu rzekomej obrony, a, gdy się okazuje, że nieprzyjaciela nie stało, rabuje i pali zamki... Tak to, ruch ten, niby to przypadkowy i spontaniczny, ma, znowu oczywistym przypadkiem, następstwa, będące wodą na młyn Rewolucji... (Albowiem już) 4-go sierpnia kładzie Zgromadzenie Narodowe kres Staremu Porządkowi... Stary (zaś) ten Porządek już wtedy leżał w gruzach, a Zgromadzeniu nie pozostawało nic innego, jak uznać fakt dokonany.“

II

Po latach stu republikanie francuscy ponieśli do grobu inny znowu „stary porządek“. Po latach stu — dokonywał się nowy „koniec Notablów“ [2]). Czyż dziwna, że potomkowie tych republikanów głowią się obecnie nad wyświetleniem epizodów tego pogrzebu, że im nie wystarcza zdawkowe, choć wprawną ręką reportera dyplomatyczno-kronikarskiego skreślone sprawozdanie w „Historji Francji współczesnej“ Gabrjela Hanotaux? [1]).

Daniel Halévy, przyjaciel lewicowców polskich[2]), autor żydowski panegiryku niegdyś prezydenta Wilsona [3]), daje teraz u Grasseta tom poświęcony bankructwu szlachty francuskiej [4]), w którym, z subtelno-pobłażliwą *Schadenfreude* starego Semity, przygląda się łamańcom i konwulsjom przedśmiertnym starej Francji. Współwyznawca jego Bruno Weil publikuje (najpierw po niemiecku) monografję sprawy Dreyfusa [5]), czwartą już z rzędu [6]), obecnie zaś znany powieściopisarz Jerzy Bernanos, autor tłumaczonej i na nasz język powieści: „Pod słońcem Szatana“, przynosi nam monografję starego bojownika za dobrą sprawę, zmarłego w momencie najkrytyczniejszym wielkiej wojny, Edwarda Drumonta.[7])

III

Jestli ten Francuz rasowy o nazwisku hiszpańskiem Dominikaninem z ducha, jakby wskazywały na to ujawnione gdzieniegdzie w książce jego sympatje, jakby wskazywała napisana przezeń biografja św. Dominika? Jestli on stukaratowym, zakonspirowanym jeno nieco nacjonalistą, uczniem wypieszczonym wyklętego dzisiaj Maurrasa, entuzjastą Daudeta, jakby wskazywało znowu na to całe „nastawienie“ polemiczne jego dzieła? Nie wiemy ani nawet dochodzić się nie kwapimy: nie studjujemy przecie Bernanosa jako powieściopisarza, nie rozkoszujemy się nim bynajmniej jako stylistą, „perhorreskujemy“ ba i nawet niektóre skręty jego wyobraźni twórczej, wzdragamy się, gdy *miscet sacra profanis,* gdy, rozważając tragiczne problemy katolicyzmu, miesza nagle, sposobem już gallickim, nie hiszpańskim, do wywodów poważnych *la note grivoise,* gdy gubi się w dygresjach, pozornie tylko po to, aby mu książka suciej urosła, gdy zagubia w nich swojego, dość chyba interesującego, autora, zamiast dać czytelnikowi solidną chociażby analizę dawno zadeptanej, zapomnianej, a żywotniejszej, niźli w chwili jej napisania, „*France juive*“ Drumonta.

Nam chodzi tu li tylko o wyłuskane z romansopisarskiego baroku, *Schwulst und Bombast*, Bernanosa, *meritum* osnowy, *meritum* tak zbliżonego do tego, co przeżywać nam każą dzisiaj w Polsce osławieni BB-konserwatyści, owego pomieszania wszelkich wartości, pojęć, poczuć moralnych, owego spłaszczenia czy znieprawienia (u nich) *du spirituel et du matériel*, owego opłakanego stanu rzeczy, gdzie — z prostego strachu (patrz: Freycinet i Cochin) czy prostackiej ignorancji (patrz: Drumont) czy wreszcie i najczęściej — z krzewiącego się najbujniej na g u a n i e demokratycznem oportunizmu— „*(on se) résignerait* — jak powiada Maurras — *à conserver la peste et même à sacrer le typhus*“.

IV

Księgarnia żydowska Lipschutza w Paryżu (*place de l'Odéon*) nadesłała mi w r. 1928 katalog (zakupionej przez siebie) bibljoteki Edwarda Drumonta. Goły fakt, ale fakt, że w takich rękach znalazła się właśnie ukochana bibljoteka Drumonta, nadwerężona zresztą trochę przez wielką powódź paryską z roku 1910, mówi wiele. Odczytujemy zawarte w katalogu dedykacje tej bibljoteki, dedykacje młodych Francuzów, jak np.: „Ostrzegaczowi przed niebezpieczeństwem żydowskiem, którego imię żyć będzie tak długo, póki sama kwestja żydowska, t. j. lat tysiące i tysiące, aż po kres wędrówki żydowskiej“, albo: „Hołd genjuszowi, co stworzył wielki ruch religijno-narodowy naprzekór narodowi żydowskiemu i jego armji najemnej, masonerji“, albo: „Wielkiemu prorokowi, wielkiemu patrjocie... haracz podziwu winny mu ze strony wszystkich Francuzów i katolików“, albo: „Hołd... wielkiemu bojownikowi rasy francuskiej przeciwko wyzyskowi żydowskiemu“ itd. itd.

To wszystko — obok wielu rarytetów czy nawet unikatów bibljograficznych antysemickich — znalazło się dziś w ręku żydowskiem. *Habent sua fata libelli.*

V

Dlaczego stało się tak, a nie inaczej, wytłumaczyć ma nam właśnie omawiana książka Bernanosa.

Kreśli nam tam powieściopisarz najpierw z pasją *biographie romancée* żywota Drumonta. Ale kreśli nam (szkicowo) co innego także, coś dużo ważniejszego i bardziej zasadniczego, a to dzieje „burżuazji konserwatywnej“ we Francji w latach 1870 — 1914.

„Burżuazja konserwatywna“:

„pewien gatunek ludzi, — określa ją Bernanos — egzystujący jeszcze, aczkolwiek usiłujący zatracić się w masie, gatunek złożony z jednostek, którym osobiście może nie zbywać ani na wspaniałomyślności ani nawet na odwadze, ale gatunek w swym całokształcie łatwy do onieśmielenia, a, bardziej jeszcze, niż zazwyczaj zatrwożony przez tę obsesję niebezpieczeństwa rewolucyjnego, od którego nic go nie chroni, bo wierzy (ta burżuazja), rozpaczliwie a naiwnie, w trjumf nie do zwalczenia idej, któremi się brzydzi“.

A dalej:

„Cokolwiek by się myślało o wartości umiarkowania, tak niezbędnego w życiu społecznem, nie sposób nie uśmiechnąć się na widok umiarkowanych z zasady, którzy, pracowitemi rękami, przesuwają nieustannie drogowskaz, mający oznaczać ostateczną granicę ich koncesji, owych przedwczorajszych konserwatystów, wczorajszych oportunistów, dzisiejszych zaś liberałów, postępowców, republikanów czy lewicowców... Zdziwienie ustaje wszakże, gdy się pomyśli, że wszyscy ci mądrale, których przyrodzony refleks polityczny jest refleksem już nie aferzysty, ale prostego kupca, dążą, w gruncie rzeczy, jedynie do zagwarantowania interesów własnych względem każdego z reguły rządu zapomocą odpowiednio opłaconego ubezpieczenia.“ [8])

---

[2]) Tytuł dzieła Halévy'ego, omawianego niżej.

[1]) „*Histoire de la France contemporaine*“, 1871—83, 4 tomy, Paryż, b. r.

[2]) por. artykuł Marji Hutten-Czapskiej w „Wiadomościach literackich“ (z portretem wspólnym Halévy'ego i Józefa Hutten-Czapskiego).

[3]) „*Le Président Wilson*“.

[4]) „*La fin des notables*“.

[5]) „*L'affaire Dreyfus*“, Paryż, Gallimard, 1930.

[6]) licząc nacjonalistyczne: Dutrait-Crozon (1924) i Roget oraz filożydowską, Charensol: „*L'affaire Dreyfus et la troisième république*“, Paryż, b. r.

[7]) Bernanos Georges: „*La grande peur des bien-pensants. Edouard Drumont*“. Paryż, Grasset, str. 458. (Redakcja „Myśli“ zaznacza, że w numerze z 21-go czerwca b. r. opublikowała już krótką wzmiankę o doniosłej książce Bernanosa, a niniejszy artykuł zamieszcza, uważając, że pożytecznem by było nad tezami Bernanosa otworzyć dyskusję).

[8]) por. też u Bernanosa, str. 107: „*A la différence des hommes de gauche, toujours rustres, qui jettent aussitôt la main au plat, se partagent les morceaux, le conservateur pille discretement le buffet, s'en va d'un pas solennel, sous les regards déférents des serveurs, croquant son butin dans une embrasure...*“

Przyklasnąć tylko należy powyższej tezie Bernanosa (zbliżonej zresztą do analogicznych swojego czasu poglądów na profiteurstwo własnej warstwy u Krasińskiego). To samo przecie widzieć się daje i dzisiaj u nas: gęsi, nie gęsi, lasy, nie lasy, a wszystko polega, w gruncie rzeczy, jedynie na gwarantowaniu interesów własnych, na starej, odwiecznej, oligachicznej czy szlacheckiej polskiej prywacie.

„A jeżeli ta wściekłość godzenia się — stwierdza dalej Bernanos — zatrzymuje się, na razie przynajmniej, na szeregach komunistycznych, których ofensywie biedacy ci wy obrażają sobie, że się przeciwstawiają kampanją afiszów i grafików w guście najmarniejszych anonsów farmaceutycznych, to dlatego, że przykład Rosji uczy, iż komunizm nie dotrzymuje zobowiązań swoich komercjalnych, nie szanuje reguł gry. Wzamian wyczekują (ci konserwatyści) skwapliwie polityka serjo, polityka o reputacji uczciwej, któryby podpisem swoim i kredytem zażyrował im weksle Rewolucji...“

Ale oddajmyż głos samemu Drumontowi:

„Niechaj moje doświadczenie posłuży innym! — woła mianowicie do nas z za grobu stary mistrz antysemityzmu. — Nie wierzcie nigdy konserwatystom, z nimi nic nie da się zrobić...“

Jakżeż inwektywa ta Drumontowska bliską jest inwektywy starego Wielopolskiego, zagniewanego wszakże także na własną brać-szlachtę:

„Dla Polaków da się czasem coś zrobić, z Polakami nigdy.“

A cóż dodaje do tego wszystkiego biograf Drumontowy?

„To zaparcie się — pisze Bernanos — na jedno tylko zasługuje miano: pogardy ryzyka. Nie tyle — obawy ryzyka: wszak każda wojna przynosi dowody, że brawura jest udziałem wielkiej ilości Francuzów... A (ta) tak pożałowania godna obojętność na doktrynę, na program, na warunki pozytywne utrzymywanego czy przywracanego porządku, ofiara wyrozumowana, a przez to cyniczna niemal, z wszelakiego rodzaju zasad, a to wszystko w nadziei, zawsze ich zresztą zawodzącej, że się górę weźmie stopniowo, bez ryzyka, przez zamaskowane jakoby przefiltrowywanie się—... doprowadza w rezultacie do zdyskredytowania się politycznego prawicowców. Kraj patrzy z uzasadnioną nieufnością na tych kandydatów — kameleonów o przemienialnych etykietach i wkońcu dopatrywać się zaczyna, w ich zbytniej a paradoksalnej usłużności politycznej, niczego więcej ponad zasadzkę, zastawianą na jego dobrą wiarę przez podejrzanych pośredników o zamaskowanych celach“.

VI

Świadomie pomijam na łamach „Myśli Narodowej“ całą, obszerną, polemikę Bernanosa z obozem katolickim. Pomijam ją dlatego przedewszystkiem, że za mało znaną mi jest postać autora, który reklamowany był dawniej jako powieściopisarz ultrakatolicki, który jednakże rzecz swoją ostatnią opublikował u firmy wydawniczej, co bynajmniej nie wygląda na sprzyjającą tendencjom katolickim. Dalej — przy całej sympatji dla Drumonta — w żaden sposób uważać go nie mogę za „ojca Kościoła“, wiem, że niezawsze trzymał się przepisów tego Kościoła w życiu swojem i wiem, że przeholował stanowczo w polemice ze sferami kościelnemi.

Ale za ciężki błąd uważałbym — z drugiej strony — ze strony katolików, gdyby przeszli do porządku dziennego, jak to czasem niestety! im się zdarza, nad ostatnią książką Bernanosa. Pragnąłbym gorąco, ażeby na tychżesamych chociażby, co ja, łamach, zabrał możliwie a szybko głos kapłan światły, kapłan starszy, a przez to znający naocznie stosunki francuskie tych czasów i powiedział nam, młodszym od niego, jak to naprawdę było z tem *„ralliement“*, z tym Drumontem i t. d.

Ja bowiem wyznaję, że książkę Bernanosa z niezwykłym odkładałem niesmakiem. Pytałem się sam siebie, czy warto walczyć, ryzykować, ludziom się narażać, ażeby potem bibljoteka moja sprzedaną została żydom. Pytałem się sam siebie, czy warto nie być oportunistą, po to, aby najbliżsi, jakby sądzić można, duchowo, szli jednak ciągle na kompromisy i targi. Pytałem się, czy w dobie „wielkiej trwogi“ konserwatystów żyć warto tym, co kochają tradycję dusz dostojnych.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

# DZIEDZICTWO

ŹLE WYDADZĄ sobie świadectwo krytycy i recenzenci literaccy, co przeglądając nowości w zakresie beletrystyki, „nie zauważą“ wydanej przed kilku tygodniami powieści Kazimierza Wybranowskiego pt. „Dziedzictwo“ [1]). W czasach, gdy najbardziej renomowani pisarze zadowalają się nieodpowiedzialną pod względem intelektualnym, tandetną robotą „z dnia na dzień“, kiedy nawet utalentowani autorzy popisują się brakiem myśli i nie orjentowaniem się w najprostszych zagadnieniach życia narodu, powieść, napisana przez człowieka, zadziwiającego niepospolitą siłą umysłu i ogromną jego kulturą, jest zdarzeniem — w całem tego słowa znaczeniu — wyjątkowem. Od czasu „Faraona“ Prusa nie pojawiła się w powieściopisarstwie naszem książka równie mądra, zawierająca równie wiele głębokich idej oraz trafnych, na rzetelnej a wielostronnej wiedzy opartych uwag i spostrzeżeń.

Nie znaczy to, żeby dzieło Wybranowskiego nie budziło żadnych zgoła zastrzeżeń krytycznych. Nawet pod względem czysto stylistycznym widać w niem chwilami jakby pośpiech, niedostateczne wygładzenie (np. „stosunek do pana, w którym nic nie było służalczego, regulowała jego uczciwość i religijność“, str. 352), aczkolwiek w innych miejscach, szczególnie w lapidarnych, w aforystyczną formę ujmowanych zwrotach i określeniach, potrafi autor z powodzeniem współzawodniczyć z najznakomitszymi mistrzami polskiej prozy. W układaniu intrygi powieści nie cofa się też Wybranowski przed ułatwieniem sobie zadania przez wprowadzenie nieprawdopodobnie już pomyślnego zbiegu okoliczności (podsłuchana przez Twardowskiego w wagonie rozmowa między młodym Culmerem i J. Stuartem).

Co ważniejsze wszakże, autor „Dziedzictwa“, z tak niezwyczajną przenikliwością i wiedzą poruszający w powieści swej zagadnienia suggestji, hypnotyzmu, energji psychicznej człowieka, oddziaływającej w sposób bezpośredni na psychikę innych ludzi, sam nie zawsze w dostatecznej mierze włada tym swoistym całkiem rodzajem magji, jakim jest, w istocie swej, wszelki dar ucieleśniania i narzucania drugim własnej poetyckiej wizji, wszelkie irracjonalne, magnetyczne jakgdyby działanie sztuki. Wykazać to może zestawienie w powieści Wybranowskiego opisu „domu niepokoju i rozpaczy“, domu, który przenikającą go, tajemniczą

---

[1]) Kazimierz Wybranowski: „Dziedzictwo“, powieść, Poznań, nakład Księgarni św. Wojciecha, str. 381.

atmosferą nieszczęścia przygniata i rozprzęga duchowo swoich mieszkańców, z analogicznym opisem w „Upadku domu Usher'ów“ E. A. Poe'go. W „Dziedzictwie“ fakt szczególnej, zabójczej psychicznie atmosfery dworu turowskiego uzasadniony jest tak inteligentnie i przekonywająco, że nawet sceptycznie usposobiony czytelnik nie jest pewnie zbyt zadziwiony informacją, iż dzieją się tam rzeczy niezwykłe (odgłos kroków zmarłego Alfreda Twardowskiego w pokoju bibljotecznym), albo, że osoby bardziej wrażliwe, zamieszkawszy tam, popadają w ciężki rozstrój nerwowy. U Poe'go czytelnik wogóle nie potrzebuje być przekonywany, że gdzieś w świecie zdarza się coś niesamowitego: z drżeniem wewnętrznem, on sam bezpośrednio poddaje się atmosferze grozy, sam osobiście odczuwa ją, ulegając hypnotyzującym urokom poezji.

Tęż samą uwagę zastosować można, w mniejszym lub większym stopniu, do przedstawienia wszystkich bodaj występujących w „Dziedzictwie“ postaci. Nie są to bynajmniej postaci „papierowe“: autor słusznie całkiem zaznacza np., że „Grzegorz nie był typem starego sługi“, jaki często spotyka się w beletrystyce, i wogóle w bogatej bardzo galerji typów i charakterów, jaka ukazana jest w powieści, żaden nie wyprowadza rodowodu swego z konwencji literackiej, każdy tworzony jest na podstawie obserwacji życiowej, przez człowieka, który umie patrzeć i zauważać rzeczy ważne, istotne, umie dojść ukrytych motywów ludzkich działań, zna świat i z podziwienia godną przejrzystością potrafi objaśnić złożone i różnorodne mechanizmy sił duchowych, składających się na odrębną sylwetę psychiczną każdej poszczególnej jednostki. Ale czytelnik raczej rozumie bohaterów „Dziedzictwa“, zna ich charakter i zdolny jest np. przewidzieć, jak w danych, określonych okolicznościach muszą postąpić, aniżeli widzi ich bezpośrednio oczyma wyobraźni: autor tej opowieści o współczesnym Twardowskim, który mimo rozmaitych pokus nie zaprzedał duszy swojej djabłu, sam nie naśladuje Twardowskiego dawnego w wywoływaniu przed wzrokiem widza wizyj osoby żywej, aczkolwiek do tej sztuki wystarczyłoby całkowicie — bezgrzeszne czarnoksięstwo poezji.

W tych warunkach tem większego znaczenia dla powieści nabiera umiejętność żywego przeprowadzenia akcji, utrzymywania czytelnika w nieustannem napięciu ciekawości: co dalej?,—ciągłego zainteresowania go szybkim przebiegiem, w konsekwentną całość ujętego i prawidłowo, logicznie skonstruowanego szeregu następujących po sobie zdarzeń. Pod tym względem Kazimierz Wybranowski okazał talent naprawdę nieprzeciętny. Zwłaszcza w naszej literaturze powieściowej, gdzie (wyłączywszy, oczywiście, Sienkiewicza) zmysł dla żywości akcji nie stanowi mocnej strony najbardziej nawet utalentowanych pisarzy, ten ogromny walor „Dziedzictwa“ winien być ze szczególnym naciskiem uwydatniony. Wszakże brak interesującej fabuły u naszych beletrystów jest zapewne jedną z głównych przyczyn upodobania, jakie dzisiejsza publiczność polska okazuje powieściom, tłumaczonym z literatur obcych.

Nadzwyczaj cenny jest w „Dziedzictwie“ pierwiastek humoru, i to humoru wysokiej próby, nie powierzchownego, wywołanego np. mechanicznem raczej stosowaniem kontrastów, ale sięgającego głębiej, rodzącego się z wolnego od szablonu, niezależnego umysłowo spojrzenia na świat, które pozwala spostrzec śmieszność uznawanego powszechnie, uświęconego konwenansem i ogólnie z szacunkiem i powagą przyjmowanego — obłudnego, namaszczonego komunału. Oto np. charakterystyka „czcigodnego“ asymilatora, żyda-patrjoty polskiego z epoki pozytywizmu, ojca jednej z głównych osób powieści, starego Józefa Culmera:

„Wiedziano o nim, że był uczestnikiem powstania 63-go roku. Nie poszedł wprawdzie ze strzelbą do lasu, ale odznaczył się w Warszawie, w rozmaitych naradach i komitetach obywatelskich. Mówiono pocichu o jego stosunkach z Rządem Narodowym, a bardziej wtajemniczeni wiedzieli, że wystawił się na ogromne niebezpieczeństwo, wziąwszy na siebie zakup wielkiego transportu broni w Anglji. Tylko skutkiem jakiegoś nieszczęsnego zbiegu okoliczności ta broń do kraju nigdy nie doszła. Zato szczęście mu sprzyjało w tem, że Moskale nigdy nie wykryli jego tak czynnego udziału w powstaniu, skutkiem czego uniknął zesłania, katorgi, a może nawet powieszenia. Po powstaniu pozostał w Warszawie, gdzie był w tej ciężkiej dobie jednym z gorętszych patrjotów, niestety, zmuszonych do wielkiej ostrożności. To też nazwisko jego wymawiano z ogromną czcią; byli tacy, co pochylali przy tem głowy“.

Albo jak znakomicie, w kilku słowach, przedstawiona jest „elita“ intelektualna „Warszawki“: oto mecenas Brzozowski

„...zaczął mówić o sobie. Jest adwokatem, ale go to nudzi: wolałby poświęcać cały swój czas pracy naukowej, którą obecnie tylko dorywczo może się zajmować. Pracuje nad historją cytadeli warszawskiej jako więzienia politycznego...

— Muszę wyrazić wielkie uznanie byłym więźniom, dziś żyjącym. Prawie wszyscy chętnie nadsyłają mi obszerne o sobie wiadomości“.

Trzeba też mieć nielada zmysł komizmu, żeby dla oznaczenia masonerji stworzyć nazwę: Związek Uczynnych Grabarzy...

Świetność intelektu autora „Dziedzictwa“ nie wyraża się jednak tylko w bystrem spojrzeniu satyryka, demaskującego fałsz i ukazującego ludzi i rzeczy w ich właściwym wymiarze. Raz po raz znaleźć można w powieści, mimochodem jakby rzucone zdania i uwagi, niekiedy nawet obszerniejsze nieco wywody, świadczące o bardzo poważnej wiedzy i niezwykle płodnej, samodzielnej myśli pisarza w zakresie nauki o cywilizacji. Dla przykładu przytoczyć można fragment, omawiający różnicę psychiki Polaków i narodów zachodnio-europejskich, zadziwiający celnością spotrzeżeń i śmiałością chwytu syntetycznego:

„Na Zachodzie odbył się pewien proces w duszach ludzkich — pod jakiemi wpływami, o tem dałoby się dużo powiedzieć — który tak zindywidualizował ludzi, że to już staje się niebezpiecznem. Człowiek tam w każdej sprawie, do której się bierze, musi mieć jakiś swój cel osobisty. W chwilach wielkich, niezwykłych, jak naprzykład ostatnia wojna, umie się poświęcić, często także z motywu osobistego — dlatego, że jemu, szanującemu się człowiekowi nie wolno inaczej postąpić. W normalnem atoli życiu myśli tylko o sobie i o swoich celach. Nasi ludzie umieją służyć sprawie, do której są przywiązani, ojczyźnie przedewszystkiem, usuwając całkowicie ze swej myśli swoje cele i interesy osobiste. Dlatego są niedołężni w porównaniu z tamtymi, bo człowiek, z bardzo rzadkiemi wyjątkami, na największą energję się zdobywa, gdy o niego chodzi osobiście“.

Tutaj wszakże ujawnia się również inna jeszcze cecha, niezmiernie dla „Dziedzictwa“ znamienna. Myśl autora mianowicie ze szczególnem zainteresowaniem zwraca się ku zagadnieniom, dotyczącym wzajemnego stosunku jednostki i społeczeństwa, zagadnieniom, z natury swej, nietylko socjologicznym czy historycznym, ale wkraczającym równocześnie w dziedzinę etyki. Pogłębienie intelektualne i moralne bohaterów powieści dokonywa się równolegle, a wysoko pod względem etycznym rozwinięta jednostka, np. ks. Rybarzewski, choć jest tylko skromnym proboszczem wiejskim, zaimponować może wielką mądrością życiową, znajomością

duszy ludzkiej, praktycznością i zdolnością orjentowania się w trudnych i zawiłych okolicznościach.

W ten sposób ludzie o pełniejszej świadomości etycznej górują w „Dziedzictwie" także pod względem intelektualnym nad swymi partnerami, co daje im przewagę we wzajemnych stosunkach, tandeta moralna bowiem łączy się, naturalnie całkiem, z tandetą również umysłową. Jest w takiem postawieniu sprawy pierwiastek niewątpliwie krzepiący, a rozdział powieści, w którym mecenas Culmer dowiaduje się, że intryga jego została przejrzana, on sam natomiast nie docenił sił swego przeciwnika i grę swoją przegrywa, daje czytelnikowi satysfakcję moralną, podobną do tej, jaką odczuwa się np. przy lekturze niezrównanej sceny zdemaskowania Uriaha Heepa w „Dawidzie Copperfieldzie" Dickensa.

Ta — głębiej pokrewna Dickensowi — postawa optymistyczna, niezachwiana wiara w człowieka, którą przeniknięte jest „Dziedzictwo", posiada w sobie coś wyraźnie młodzieńczego i stanowi prawidłowy odpowiednik faktu, iż autor jest debjutantem (pierwsza powieść Wybranowskiego, p. t. „W połowie drogi", ukazała się w wydaniu książkowem przed kilku miesiącami, po niej nastąpiło „Dziedzictwo"). Ale podobna postawa moralna jest także tajemnicą trwałej, niewygasającej młodości duchowej człowieka i jego dzieła.

JAN REMBIELIŃSKI

# SYMBOLIKA „WESELA"

## 1

W ROKU 1867 w studjum „Kilka słów o poezji" Adam Bełcikowski tak określał charakter i rolę przyszłego wielkiego poety w życiu naszego narodu:

„Przyszłego genjalnego poetę, który w omdlałą dzisiaj istotę poezji wleje siły nowego życia, wystawiamy sobie z poważną grozą myśli na czole. Może to będzie jaki Voltaire XIX w., który wyśmieje niejedno z naszych marzeń, który zburzy wiarę w niejeden sen uroczy i obruszy się nawet na chwilowy szał i entuzjazm swych poprzedników. Może to będzie jaki nieustraszony anatom serca ludzkiego, który ze wzruszeniem wewnętrznem, choć ręką pewną, bez zadrżenia zapuści skalpel w łono społeczeństwa, a my, choć zepchnięci z piedestału, na który nas podniesiono, będziemy musieli zawołać: jak on przejrzał nasze dusze, jak zbadał naszą naturę!.. Jakikolwiek on jednak będzie, pogodzi bezwątpienia nieprzyjaźnie naprzeciw siebie stojące uczucie i rozum, i stanie się wyrazem łączącej w sobie te ostateczności — myśli":

Kto wie, może te mądre słowa czytał wonczas na świeżo w swej izdebce paryskiej Norwid, który wołał właśnie w „Rzeczy o wolności słowa" (1869): „Miejmy moc obejrzenia się na braki, które, ujemne będąc, kreślą całości naturę", albo też nieco później, w „Assuncie" stwierdzał: „Niech gardzą jedni wszystkiem dla rozumu, a im przeciwni dla uczucia wszystkiem", albo wreszcie gdy współczesna mu Polska jawiła się jego oczom „jak fortunne wyspy starożytne, dziejów mające wdzięk, nie trud i ciąg" („*A Dorio ad Phrygium*").

Może Norwid tamte słowa Bełcikowskiego czytał. Ale zato napewno Bełcikowski o Norwidzie, pisząc to, nie myślał, jakkolwiek właśnie ten poeta ucieleśniał współcześnie, wspaniale tamte wieszcze przeczucia i postulaty krakowskiego uczonego...

Natomiast w dwa lata po napisaniu tych słów w tymże Krakowie przyszło na świat dziecko, które miało na samej rubieży wieków XIX i XX ów ideał przyszłego genjalnego poety, wydumany przez Bełcikowskiego, zrealizować w sposób nie tak dojrzały i konsekwentny, jak to czynił był Norwid, jednak, w „Weselu" zwłaszcza, w stopniu o tyle bardziej suggestywnym dla swego pokolenia, że ono, pomne oczywistej klęski 1863 i przeorane bądźcobądź przez realizm, głos ten przyjęło i przyswoiło, uznając w Wyspiańskim swój organ poetycki, ów „krzyk, co był nasz, z tego pokolenia".

## 2

O „Weselu" już tyle napisano (pozycyj bibljograficznych, dotyczących tego dramatu, zebrałem zgrubsza ze sto), że niniejsza nowa próba zwrócenia uwagi na niektóre szczegóły jego symboliki może się wydawać zbyteczna lub nadto śmiała. Jednak po gruntownym, przeszło trzyletnim namyśle, wydało mi się potrzebne podzielić się z szerszą warstwą czytelniczą temi wątpliwościami, nasuniętemi przez analizę nietylko samego „Wesela", ale również owych licznych studjów krytycznych o niem, wątpliwościami, które miałem już sposobność roztrząsać przed audytorjum uniwersyteckiem w Wilnie.

Zapytajmy więc naprzód, w jakiem miejscu — psychicznem, nietylko chronologicznem — naszych dziejów porozbiorowych należy umieścić Wyspiańskiego i jego „Wesele"? Jakie rysy miała ta „chwila osobliwa", która go zmusiła nieodparcie do ujęcia jej w kształt poetycki?

Patrząc dziś, z właściwej już odległości, na tragiczne zmagania się nasze z niewolą (jakkolwiek proces ten nie jest jeszcze całkowicie zakończony, zwłaszcza jeśli spojrzymy nań od wnętrza), możemy całe nasze dzieje porozbiorowe podzielić na dwie części: w pierwszej oczy Polaków i narodu jako całości były zwrócone przeważnie ku przeszłości. Polska umierała... Napróżno starano się ją utrzymać przy życiu (napoleonjada, rok 1831), albo też galwanizować (rok 1863)... W połowie drugiej — treścią życia naszego stała się ta Polska, co się rodziła powoli, dzień po dniu.

Tragizm cały polegał na tem, że te dwa procesy odbywały się równocześnie, że fenomeny obumierania organizmu dawnej Polski szlacheckiej i tworzenia się Polski nowej szły obok siebie, jak w owej arcy-ciekawej i fantastycznej noweli Antoniego Langego ze zbiorku „W czwartym wymiarze", gdzie babcia-staruszka, nie umierając, przewcieliła się w młodziutkie dziewczę siedemnastoletnie.

Świadomość konieczności śmierci dawnej Polski bodaj pierwszy w tak wysokim stopniu miał Mickiewicz, który w dwóch, a raczej trzech, postaciach usymbolizował to przeradzanie się Polski w nowoczesny organizm narodowy. Jacek Soplica — Ksiądz Robak — pan Tadeusz, to Polska „wczoraj" „dziś" i „jutro". Problem ujęty prosto i nieskomplikowanie: „Wczoraj" się przedzierzgnęło w „dziś" przez indywidualną (i zbiorową!) pokutę i przekazało w sposób naturalny (ojciec — syn) swe dzie-

dzictwo „jutru“, które z całą odpowiedzialnością to dziedzictwo przyjmuje.

Problemat nieskończenie się pogłębia i udramatycznia w „Lalce“ Prusa, zwanej uprzednio trafnie „Trzy pokolenia“. Tam, w postaci Wokulskiego, który wyobraża „dziś“, ścierają się i walczą przeszłość i przyszłość. Martwa przeszłość (Rzecki, Łęccy, Marszałkowa, Książę) — to kamień u nogi Wokulskiego, który dziedzictwo swe marnuje i ono dostaje się jego dzieciom nieprawym: Maruszewiczowi i Szlangbaumowi, trjumfującym wyobrazicielom nasuwającego się „jutra“.

Ale Prus, malując to tragiczne zagadnienie w sposób wyjątkowo sumienny i przenikliwy, nie umiał jednak ani podać jego przyczyn, ani tembardziej nie potrafił wskazać środków, któreby mogły wyprowadzić nas z tego labiryntu. Nie znał on, niestety, Norwida, co było (nie przestanę tego nigdy powtarzać!) głównym powodem błąkania się polskiej świadomości narodowej od połowy w. XIX po dziś dzień. Nie wiedział tedy Prus, że na lat czterdzieści przed jego „Trzema pokoleniami“ ów, najbardziej twórczy umysł swego czasu, w całej swej działalności pisarskiej, a zwłaszcza w „Promethidionie“ wskazywał na konieczny warunek postępu i zmartwychwstania narodu: na potrzebę ciągłości pracy pokoleń i łączności różnych warstw społecznych, ze względu na ścisły związek pomiędzy religją, życiem społecznem a sztuką. Dlatego potępiał on jałowe „nadziewanie się przyszłością“ i bezpłodne jej wyglądanie przy równoczesnej pogardzie dla „wszelkiego wcielania i postaciowania“, czyli brak komunikacji pomiędzy „wczoraj“ a „jutrem“, chęć przeskoczenia przez „dziś“, które winno być przecież wypełnione twórczym trudem, czyli pracą. „Kończy się więc na tem“ (konkluduje Norwid), „że odstrzelona myśl od związku stopniowego z pracami, w chwilach trudnych powraca do onej — to ludowej inteligencji i rozumu chłopskiego szuka... Często — już jest zapóźno! Wtedy kość pacierzowa z mleczem swoim, połączającym całość pracy w narodzie, się rozpada na wspomnienia przeszłości i utęsknienia do przyszłości“. I tu następuje obraz, w którym zawarte jest *in nuce* całe „Wesele“ Wyspiańskiego:

„Pomiędzy przeszłością a przyszłością otwiera się próżnia rozpaczliwa... W tej próżni zrodzone pokolenie — między przeszłością a przyszłością niezłączonemi niczem — czemże w rzeczywistości ma pozostać?... Aniołem, co przelata;... upiorem, co przewiewa;... zniewieściałem niczem... męczennikiem... Hamletem...“ [1]).

### 3

Kto uchwycił powyższy problem, tak mistrzosko ujęty przez Norwida, ten, mojem zdaniem zdobył klucz do zrozumienia „Wesela“, oraz całej grupy utworów Wyspiańskiego, w których on stara się wyrazić swą ideologję narodową i społeczną. Czy jednak twórca „Wesela“ nawiązuje świadomie do swego wielkiego poprzednika? Trudno na to odpowiedzieć z całą stanowczością. Wiemy, prawda, że „Krakusa“ Norwidowego czytał poeta już dawno i wpływ tego dramatu dostrzec można w „Legendzie“ (Sinko we wstępie do I t. „Dzieł S. W.“ str. LXIX), oraz że „Wandę“ i „Kleopatrę“ Norwida zamierzał wystawić na scenie krakowskiej. Że Wyspiański „Promethidiona“ znał, to nie ulega wątpliwości, ale czy dopiero z VIII t. „Chimery“, gdzie ten poemat jest przedrukowany obok „Kleopatry“, to znaczy w r. 1904 dopiero, czy też może jeszcze dawniej? przed „Weselem“? — na to nie możemy bodaj dać odpowiedzi. Bądź jak bądź, to jednak pewna, że społeczno-narodowa ideologja Wyspiańskiego, świadomie czy też nieświadomie, nawiązuje do Norwida, aczkolwiek nie jest ona ani tak gruntownie przemyślana, ani tak konsekwentna, ani tak głęboka, jak u tamtego poety i myśliciela.

[1]) S. Cywiński — „Wyspiański a rewolucja w literaturze“, „Dziennik Wileński“, 1917, 29.XI.

Na rubieży wieku XIX i XX-go dwaj Polacy ponoć najlepiej rozumieli ową tragedję „pokolenia, zrodzonego w próżni, pomiędzy przeszłością a przyszłością, niepołączonemi niczem“. Byli to Dmowski i Wyspiański. Ale myśl pierwszego (poza „Myślami nowoczesnego Polaka“, które tak decydująco wpłynęły na „Wyzwolenie“ Wyspiańskiego), odrazu krzepła w postanowienia i akty woli, kierowanej wprost w życie, za to drugiego myśl badawcza, przepojona uczuciem, pogrążała się w odmęcie kontemplacji, aby się wyzwalać następnie w kształtach artystycznych: w malarstwie, poezji i dramacie.

### 4

Jak się układało życie Wyspiańskiego przed „Weselem“ i jaką drogą zdążał on do tego swego arcydzieła, tak bezwzględnie górującego nad pozostałą jego twórczością, wiemy już dziś dość dokładnie. Przypomnieć więc należy o nasiąknięciu poety, jak gąbki, atmosferą przeszłości, zwłaszcza tej, zaklętej w mury Krakowa. O wpływach Matejki, ideologji „Teki Stańczyka“ a zwłaszcza Szujskiego przypomniały niedawno doskonałe przypisy Leona Płoszewskiego do wydania dramatu w „Wielkiej Bibljotece“. Czytamy więc tam np. urywki z charakterystyki Stańczyka w książce Tarnowskiego o Matejce:

„Kiedy Stańczyk siedzi sam jeden w pustej komnacie, za drzwiamy tańczące pary i dźwięki muzyki, kiedy ręce rozpaczliwie załamał i splótł, a oczy wpatrzył gdzieś daleko w przyszłość.. mówi z niego i Kochanowskiego „wieczna sromota“, i Orzechowskiego: „Byś serce moje rozkroił, nic w niem nie znajdziesz, jedno to słowo zginiemy“. — i Górnickiego: „Fata jakieś was pędzą“... Widzi on przed sobą jakąś otwartą przepaść nieszczęścia... Co dalej?... Tortury najsroższe...“

Podobnież niektóre urywki z „Teki Stańczyka“, przytoczone w tychże przypisach, są niemal żywcem powtórzone w „Weselu“:

„Czemu się jedno lepiej przypatrzysz, to takie same jak za nas, albo i gorsze... Zgoła żem nieraz myślał, jako bym nigdy nie umarł, jeno między tymi samymi ludźmi żyw został... Animuszu zabrakło, a warcholstwa po uszy, kauzyperdy mężami *status*, a nowinkarze i pisarze *pasquillus*'ów rej wodzą... Potomkowie *alia quidam forma* powtarzają na schwał, co czynili przodkowie“. (Porównaj słowa Stańczyka w „Weselu“: „błaznów coraz więcej macie, nieomal błazeńskie wiece... Asan prawi, jako najwalniejsi gębacze, odrośl od samych pni z moich dni“.)

Ale jeszcze większe podobieństwo wykrywamy pomiędzy ideologją „Wesela“ a artykułem Szujskiego p. t.: „Poetyczni młodzieńce“ („Dziennik Literacki“, 1860, nr. 65 [1]). Czytamy tam:

„Zerwaliśmy z rzeczywistością, odkąd to rzeczywistość stała się dla nas źródłem utrapienia“ (= Spać, bo życie zbyt zawiłe... A wolicie spać? — To jedno, usypiam duszę swą biedną i usypiam brata mego.)

„Za nami, znękanymi i obdartymi z blasku, pozostała przeszłość, obfita w chwałę, w świetność, szumiąca zdobytemi sztandary i błyszczące od złota rycerskiej zbroi i pozostała jak wspomnienie dnia pogodnego śród burzy, jak wspomnienie raju w dniach czyśćca“. (= To dawność tak z nami walczy... Dawnym, strojem, dawnym krojem... Upomina się o swoje Umarła. Szumem, gwarnością, zawrotem idzie ku nam z powrotem).

[1]) Przedruk w książce K. Wójcickiego o pozytywiźmie.

„Przed nami, pokłóconymi z chwilą teraźniejszą (=A tu pospolitość skrzeczy!... Stoimy u polskich granic, a mamy obecność za nic), zasłoniona chmurzyskami obecności — przyszłość, pełna przewiewnych nadziei i błędnych ogników, ale też pełna uroku, jak ląd stały na widnokręgu dla skołatanego burzami żeglarza“ (= Morze ciche, strop się chmurzy, ale burza i orkan daleko, tylko głuchość i pustka bezmierna, i t. d.)

„Jako dzieci słyszeliśmy... pieśń teorbanisty... (= Wernyhora). Z tej poetyczności urodziły się... nieszczęśliwe i zgubne natury poetyczne, dusze bez dna i bez spokoju. I kary, podlatujące ku słońcu, a ginące w morzu zapomnienia, (= padną, łzą niepożegnane żadną), ci ludzie, którzy się spalili w ogniu poezji, jak komary w świecy, chorowici poeci życia“. (= Mnie to tak coś gna po świecie... A gdyby tak ustroić się w róże i wejść na ogromny stos drzewa... Myśmy lecieli na lep poezji.)

„Śmierć moralna przez poetyczność była jedną z licznych kar bożych, spuszczanych na nas z nieba... Blade postaci, mające w sercu mola poetyczności, tęsknotę trawiącą, odrywające się od życia rzeczywistego, od obowiązków, praw rozumu, tradycyj domowych, słowem wszystkiego, co się mogło stać treścią istnienia na ziemi“ (= My jesteśmy jak przeklęci, że nas mara, dziwo nęci, Wytwór tęsknej wyobraźni serce bierze, zmysły drażni, że nam oczy zaszły łzami, pieścimy się jeno snami, a to, co nas tu otacza, zdolność nasza przeinacza.)

„Lunatycy ci nie mogli zostać niczem, bo nie mieli daru Bożego, ażeby zostać zwykłym, porządnym człowiekiem“. (= Ot, kaleka ja, ot, ja kaleka!)

„...Wielu upadło pod koniec życia w cynizm piekielny' zginęło z przekleństwem na ustach“ (= „Niechby się raz wszystko spali... Nie widzę, nie widzę dróg: zaćmił mi się Bóg!)

„Biedne sieroty! odkąd same zostały na świecie, nie było już dla nich szczęścia i spokoju. Grzechy ojców pozostawiły im w sercu cios śmierci, robaka śmierci; (= wina ojca idzie w syna) świat, w który weszli, napełnił ich sprzecznościami wybujałego ideału i grubej prozy (= Rozbrat wieczny duszy z ciałem... Wielkość gniecie) — i nie mogli w nim wytrzymać“.

„Poetyczni ludzie dzisiejsi... pozują na wielkich ludzi i w niebezpiecznem gorącu palą się znowu jak komary w świecy“ (= Raz w raz wielkość się wyłania... i raz w raz przepada, gaśnie.)

„Taka poetyczność naturalnie nie pociąga za sobą już dawnych skutków, bo nie jest szczera, nie przeszkadza jeść dobrego befsztyku i chodzić w modnym surducie (= Wint, partyjka, kolacyjka; dalsi, bliżsi przyjaciele). Pierwszego warunku zostania czemś na świecie: poczucia własnej małości wobec ogromu świata — brakuje im zupełnie. (= Ale świętości nie szargać, bo trza, aby święte były!)... Nie mogą zejść ze swego koturnu; kłócąc się coraz bardziej z rzeczywistością, giną niezrozumiani. Wszędzie szukają z afektacją niezwykłości“. (= Poeta)...

Widzimy, że tok rozumowania Szujskiego powtarza się, czasem wręcz dosłownie w „Weselu“. Snadź i ostateczna konkluzja pomienionego artykułu zapadła głęboko do świadomości poety:

„W miarę dojrzewania narodu, w miarę wzrostu jego świadomości, poezja wstępować będzie w kształty dramatu, i postaci owe, na które patrzała dotąd z religijną naiwnością, na ziemię ściągnie“.

## 5

Z dalszych czynników, które kształtowały duszę Wyspiańskiego już od młodości, należy podkreślić silnie rozwinięte w ówczesnem społeczeństwie krakowskiem sympatje dla ludzi. Mówi o tem dobrze Starzewski w swej rozprawce o „Weselu“, napisanej w kilka dni po jego premjerze, zaś dokumentami dobrze dobranemi potwierdza Płoszewski w komentarzu do wydania „Wesela“.

Na dalszych jeszcze miejscach, gdy mowa o czynnikach, które złożyły się na „Wesele“, należałoby wymienić talent malarski poety, oraz zamiłowanie do muzyki, dalej wpływy teatru, zwłaszcza francuskiego; lektury, która jest naogół znana, wreszcie dłuższe przebywanie na zachodzie Europy, co utwierdziło w nim wrodzony krytycyzm i pozwoliło mu dostrzec nędzę całego ówczesnego życia w Polsce.

Żarliwy patrjotyzm Wyspiańskiego wypowiedział się może najdobitniej w prawdziwie pięknym liście z Reims. I tu znowu znajdujemy potwierdzenie tego realizmu, który poeta przejmował od mistrzów z historycznej szkoły krakowskiej: „My przywiążemy się do pracy ciężkiej, my chcemy upadać pod jej ciężarem, aby dowieść naszej miłości“.

Cóż dziwnego, że z tego stanowiska spoglądając, dusza Wyspiańskiego wzdragała się przed atmosferą ówczesnego Krakowa. Oto co np. czytamy w liście poety do H. Opieńskiego („Przegląd Narodowy“, 1909):

„Mieszczaństwo krakowskie — to jest taka głupia rzecz, że wstyd mówić, że to są nasi krewni, rodzice, znajomi, to wszystko nie ma duszy dla nas. Caluteńką duszę zjadł 1863. Oni poza tem nic nie widzą, niczem się nie interesują. Poza swojemi ideałami widzą tylko materjalny byt, dochody, pozycje, stanowiska, nie rozumieją żadnych nowych idej“ (Kraków, 6. XII. 1895).

Oto nowa ilustracja tezy, którą poeta w lat pięć potem zawrze w „Weselu“: „Wieczny rozbrat duszy z ciałem, ciała z duszą“. Charakterystyczne jest tu mistrzowskie podpatrzenie rozkładowego wpływu roku 1863, wobec którego stanowisko Wyspiańskiego było zdecydowanie ujemne. W „Kazimierzu Wielkim“ tak niebawem scharakteryzuje jego istotę:

„Po jakiejś wielkiej pożarnej ofierze
i wielkiem dusz zatraceniu
przyszedłem — gdy pobory swoje bierze
Nędza, całemu władna pokoleniu.
I rany te serdeczne, jeszcze świeże
i przerażenie to straszne w sumieniu.

To „zatracenie dusz“, jako skutek powstania 1863 r., tę „nędzę“ i to „przerażenie“, sprowadzał poeta do wspólnego mianownika „niewola“, o czem mówi szczegółowo Stanisław Estreicher w szkicu p. t.: „Narodziny Wesela“ („Przegląd Współczesny“, 1926, nr. 48):

„W r. 1898 nasunęła się Wyspiańskiemu może po raz pierwszy myśl: w czem leżą niedomagania naszego zbiorowego, a więc i artystycznego życia? Odpowiedź: niewola. Ona to znieprawia dusze, nie pozwalając im rozwijać się całkiem swobodnie i nakładając na nie tysiączne więzy“.

Stopniowo wzrastało w nim przekonanie, że trzeba się z niej moralnie wyzwolić, (porównaj w „Wyzwoleniu“: „Wyzwolin ten doczeka się dnia, kto własną wolą wyzwolony“), jednak nie przez zbrojną walkę o wolność:

„Wyspiański pragnął pogodzić przekonanie o konieczności niepodległości Polski z niewiarą w możliwość zbrojnego powstania, które zawsze prowadziło do katastrofy. Pragnął uzgodnić potrzebę krytyki własnego społeczeństwa z obawą o odbieranie mu wiary w siebie i rozpędu. Pragnął dojść, jak można wyznawać kult przeszłości równocześnie z dążeniem do zerwania z nią i wyswobodzenia się z jej przytłumiającego wpływu, tak zgubnego w oczach Wyspiańskiego. Bardzo wiele z tych wątpliwości wsiąknęło potem w „Wesele“[1])

(D. n.) STANISŁAW CYWIŃSKI

[1]) Estreicher, j. w.

# NA WIDOWNI

Zagadkowe zjawisko: czego właściwie chce „sanacja“? — Przemienić społeczeństwo. — Co zrobić, żeby dobry był rezonans? — Fakty „udane“ są prawotwórcze — Czy Polska legalnie istnieje? — Psychoza bolszewicka.

SPORO energji umysłowej zabiera w Polsce ludziom rozsądnym rozwikływanie zagadki, o co właściwie chodzi garstce ludzi, zwanej „sanacją“, jakie są ich cele, w imię czego ponoszą tyle fatygi z tak opłakanemi dla społeczeństwa rezultatami, czego chcą dowieść światu, to znaczy jaką chcieliby wcielić ideę, wreszcie jaka jest logika ich działania. Jeśli to sport, to z kim współzawodniczą, czy z Europą zachodnią, czy ze wschodnią? Kto ich wieńczyć będzie? A może to tylko przygoda, w którą się uwikłali i, nie znajdując z niej wyjścia godnego rycerzy, tratują posiewy?

Zaplątano się niepotrzebnie w sieć społeczeństwa, którego natury nie znano. Ani w prawo, ani w lewo, ani z prawicą, ani z lewicą. Jakieś zatrzaśnięcie bez wyjścia, doprowadzające do wściekłości i szału. Stąd bezplanowość ruchów i łatanie bezradności złością. Społeczeństwa bowiem, ugruntowanego historycznie w systemie moralności i prawa, nie da się przełamać siłą fizyczną.

Mamy teraz przed oczyma widok niesłychanie pouczający, który przejdzie do historji właśnie w tej scenie: potężna uzbrojona w moce ręka zawisła nad piersią chłopa małopolskiego. On ręki nie podniósł, obronę swą z sumienia dobył, a był to sąd historji nad przygodą. Słowo, które wygłosił gospodarz z Wierzchosławic, Wincenty Witos, na posiedzeniu Sądu Okręgowego w dniu 29 go października 1931 r., odezwało się w sumieniu narodu głębokim rezonansem.

Prostacy, powierzchownie polerowani, nie zżyci ze społeczeństwem cywilizowanem, wpadają w szał złości na widok tego tajemniczego zjawiska. Organ konserwatywny kresów wschodnich, „Słowo“ wileńskie, zamieściło z tego powodu (nr. 249) artykuł wstępny p. t. „Proces o fałszywym rezonansie“. Sprawa wszczęta jest dobrze, ale rezonans zły, to znaczy społeczeństwo djabła warte; należałoby je dorobić odpowiednio do faktu inscenizowanego. Tutaj tkwi główny moment kryzysu polskiego. System jest dobry, tylko trzeba społeczeństwo do niego „adaptować“, a więc „zlikwidować“ opór za pomocą pogłębienia rewolucji. Tabakiera dobra, tylko nos trzeba zmienić.

Młodociany publicysta sanacyjny poseł Mackiewicz, towarzysz polityczny i rzecznik ks. Radziwiłła, Sapiehów i t. p., tupie nóżkami, że mowy opornych posłów, wygłoszone w sądzie warszawskim, znalazły posłuch w społeczeństwie. B. premjer starego systemu Witos — jak rzecz przedstawia poseł Mackiewicz — powiedział, że „jego, prezesa prawowitego rządu, obalił zamach stanu i że prokuratura powinna w inną zwrócić się stronę“.

— „Przecież Witos“ — powiada ów publicysta — „powinien wiedzieć, że udany zamach jest czynnikiem prawotwórczym“.

Ludzie tego nowego w Polsce systemu wyznają ideał faktów, które się udały. Fakt dokonany, który „się udał“, wytwarza prawo posiadania i rodzić może nowe fakty, które dlatego muszą się udawać, że tamten się udał. W entuzjazmie twórczym poseł Mackiewicz wykrzykuje pod adresem kolegów opozycyjnych, mając na myśli fakt Brześcia:

— „Chwała Bogu, że znalazł się wreszcie rząd, który was trzasnął“.

Mówi tak o rządzie, jak o piorunie.

Trudno teraz kwestjonować pojęcie, co jest „udane“, co nie udane, bo to pokaże rezultat. Rok 1926 jest długi, on się ciągnie do tej pory. Nie byłoby przecież tego zmagania się ze społeczeństwem o rezonans, gdyby ten fakt zamknięty był w sposób prawotwórczy. Jest to przeciwnie stan rzeczy, w którym właśnie niewiadomo, co z prawem robić. I dlatego rezonans jest tak zły. Pan Mackiewicz miał na myśli fakt udany, który wprowadza nowy ustrój prawny; w tym wypadku ma na myśli znaną w praktyce państwowotwórczej formę ustroju dyktatorskiego. Ale chodzi o to, że w Polsce niema formalnej dyktatury. Oskarżonym w procesie politycznym stawiany jest zarzut, że mówili o dyktaturze. Przytoczony przez nas w poprzednim zeszycie prof. Barthélémy podnosi właśnie ten szkopuł, że czynnik miarodajny

„nigdy nie myślał o stworzeniu formalnej dyktatury. Mógł ją stworzyć, był do tego niejednokrotnie zachęcany“...

Ustrój pozostał dawny, który faktowi przeszkadza i przez to jest łamany. Jak zaś statysta wileński prawotwórczość rozumie, wystarczy przytoczyć dalsze jego argumenty. Dla niego albo wszystko jest legalne, co jest udane, albo nic nie jest legalne. Według tego polityka patrjoty:

— „Polska powstała przez szereg aktów nielegalnych, sprzecznych z prawem, jak akt dwóch cesarzy z 5 listopada, jak oderwanie Galicji od Cesarstwa, jak wymuszenie rezygnacji Rady Regencyjnej“...

Zapomniał o prawie wojny zwycięskiej, zapomniał o nieprzedawnionem prawie Polski do swoich ziem. Oczywiście tembardziej dla niego będzie nielegalnem oderwanie Wielkopolski i Pomorza od Prus, ale nie wypowiada, co myśli o Wileńszczyźnie i o całej dzielnicy z pod zaboru rosyjskiego. Wszystko nielegalnie przyłączone? Traktat Wersalski — nielegalny? Oto, do czego można się dogadać w obronie faktów „udanych“, jak Brześć, aby im dać dobrą analogję.

Pana posła Mackiewicza przytaczam dlatego, że to jest już jedyny w obozie sanacyjnym człowiek, któremu się chce jeszcze gadać, dorabiać do faktów udanych i nieudanych jakiś pióropusz teoretyczny. Nawet pan Stpiczyński się zachłysnął swojemi czerwonemi teorjami o pogłębianiu rewolucji, bo w Warszawie już go nikt nie słuchał, taki miał zły rezonans. Ale w Wilnie jest wietrzno od wschodu, pan Mackiewicz ma widocznie słuchaczy, którzy go podziwiają. W Poznaniu ze współczuciem mówią o nim: warjat.

Bo czyż można wymyśleć trudniejszy sposób współżycia ze społeczeństwem, jak przez odwracanie na wspak normalnego stosunku między niem a jednostką. Daleko przecież byłoby prościej wcielić się w ducha społeczności i jego cywilizację. Posiadanie władzy jako cel zadowolenia osobistego jest moralnie tak płaskie, jak motyw korzyści materjalnej, więc przy ocenie tak wielkiego wysiłku grupy ten wzgląd z trudem mieści się w głowie człowieka zachodniego. Nie może on zaś przypuścić, aby ktoś przytomny upatrywał w takiem stawianiu rzeczy jakąkolwiek dla społeczeństwa korzyść.

Pozostaje jedno przypuszczenie: psychoza, odbierająca człowiekowi poczytalność umysłową i mo-

ralną, a tak podatna do osiodłania przez czynniki społeczeństwu nieżyczliwe.

P. Mackiewicz jest posłem i patrzy z blizka, jak wygląda z tej strony owo przerabianie społeczeństwa na użytek grona sanacyjnego. Gdyby chodziło rzeczowo o dobro Rzplitej, to przecież pomoc ze strony parlamentu byłaby nie do odrzucenia. Tymczasem cały wysiłek skierowany jest ku temu, aby posłów niezależnych ubezwładnić (walka o regulamin), a z parlamentu uczynić nieużyteczny automat. Doszło do tego, że wciągnięta w te plany większość posłów (BB) sama przestała pracować, a wybitniejsi nawet wstydzą się swego udziału. I cóż komu z tych posłów, gdy jeszcze są wyborcy do przerobienia? Im szersze zaś kręgi zataczają pomysły zniekształcania społeczeństwa, tem większa ruina i zamysł bliższy absurdu. Gdyby w myśl teorji p. Mackiewicza przerobiło się na użytek chwili bieżącej i sądy, i kościół, i szkoły, i prasę, to przecież chwila minie i wszystko, co nagięte, wyprostuje się do pionu właściwego narodowi, należącemu do cywilizacji zachodniej.

Pan poseł Mackiewicz, ideolog czynów „prawotwórczych", ma jakieś dla swej duszy *forum*, które mu daje pewność siebie i rozgrzesza, ale nie jest to „rezonans" polski. Nie zdaje sobie sprawy, że jest rzecznikiem na ziemi polskiej jakiegoś turańskiego systemu i że wielką krzywdę robi społeczeństwu polskiemu, przyczyniając się do wciągania Polski we wschodnią strefę bolszewizmu. Takie metody — jak powiada prof. Barthélémy — „nie z systemem faszyzmu można porównywać, lecz z metodami sąsiadującej, bolszewickiej czrezwyczajki. Nie przyczynią się do zacieśnienia moralnej spójni narodu polskiego".

ZYGMUNT WASILEWSKI

# GŁOSY

## AFORYZMY

ZAINTERESOWANIE procesem więźniów brzeskich jest żywe, mimi tej utrudniającej okoliczności, że nie wszystko wolno prasie referować. Konfiskat było już wiele, ale—asumptu do nich nie dał nigdy przedruk „złotych myśli", treści ogólnej, które posypały się razem z zeznaniami niektórych świadków. Te wysoce cenzuralne aforyzmy zasługują także na swój komentarz. Ich ton, smak intelektualny etc. świadczą o poziomie naszej administracji. Na próbę zacytujemy aforyzm pomysłu wicemin. Stamirowskiego:

„Sam stopień służbowy mówi o stopniu inteligencji" — a potem przeczytajmy taką rozmowę jednego z obrońców (adw. Sterlinga) ze świadkiem (dyrektorem departamentu politycznego M. S. W., Kaweckim):

Adwokat: Jakie to młodzież T. U. R. wznosiła okrzyki antypaństwowe?
Świadek: Precz z rządem.
Adwokat: Czy to jest okrzyk antypaństwowy?
Świadek: Tak, dla mnie to jest okrzyk antypańswowy".

„Tak, dla mnie"... A czy wolno dyrektorowi departamentu popisywać się taką bezmyślnością? W myśl pierwszego aforyzmu, to jeszcze możeby uszło na niższych stopniach służbowych. A może pierwszy aforyzm był błędny? Zważmy: w okresie od maja 1926 r. rząd zmieniał się — dziesięciokrotnie. Był to rekordowy okres niestałości rządów. Co jak co, ale era pomajowa powinna nauczyć, że „precz z rządem" nie jest hasłem antypaństwowem, bo właśnie w tym czasie przeciętnie dwa razy na rok precz rząd usuwają. Czyżby (w mniemaniu takiego urzędnika) za każdym razem popełniano przez to czyn antypaństwowy? To, zaiste, państwo przetrwało próbę nielada.

*

Lecz jeszcze *à propos* poziomu aforyzmów. Najklasyczniejsze dotąd *mot* w procesie należy bezsprzecznie do wicemin. Stamirowskiego. Zagabnięty przez przewodniczącego, czy nie czyta odpisu zeznania, które złożył w śledztwie (bo tego czytać nie wolno), zaprzeczył:

—„Przecież nie czytam, tylko rzucam okiem". O czytaniu snadź nie było mowy. Ale obawiać się należy, że czytelnik zagraniczny, informowany przez swoich korespondentów, nie czytając nawet powyższych odpowiedzi, a tylko — rzuciwszy okiem — oko gwałtownie przetrze, a potem pomyśli: „Jak dziwne bywają oświadczenia wiceministra spraw wewnętrznych w..."? Słaby w geografji, jeszcze raz spojrzy na gazetę, aby upewnić się, w jakiem to mocarstwie wiceministrowie są tak subtelni, a zarazem tak mało dbali o efekt propagandowy gestów. W zamyśleniu, sięgnie wreszcie po Swifta — „Podróże Guliwera do kraju Liliputów" — i nie czytając, przerzuci okiem od deski do deski.

C.

# NAUKA I LITERATURA

## Z PRZEDWOJENNYCH WSPOMNIEŃ

NAKŁADEM firmy londyńskiej J. Cape'a wyszły przed kilku miesiącami „Zapiski rosyjskie" *(My Russian Memoirs)* Sir Bernarda Paresa. Autor, dziś dyrektor Szkoły Studjów Słowiańskich przy uniwersytecie londyńskim, redaktor akademickiego kwartalnika „*The Slavonic Review*" (gdzie studja z zakresu spraw rosyjskich przytłaczają wszelkie inne), kocha Rosję zapewne więcej od niejednego Rosjanina. Bezinteresowne to uczucie, nie wolne od fanatyzmu, ma w sobie także sporo misyjnej jakby żarliwości. Inteligencję i energję poświęcił ideałowi Rosji liberalnej, nie rozstając się z nim po dziś dzień i czekając nadejścia nowej ery po zapadnięciu się pod ziemię bolszewickiego demona. Kto przeglądał Paresa „Historję Rosji", ten zna jego zapatrywania na dzieje stosunków polsko-rosyjskich. W książce tej, podobnie jak w swych odczytach londyńskich, głosi pogląd, że Rosja nie należała w gruncie rzeczy do państw rozbiorczych: w „rozbiorach" odebrała tylko ziemie z ludnością przeważnie rosyjską, potem dopiero sięgnęła po więcej. To też Pares jest naszym szczerym przyjacielem aż do Bugu; co dalej na wschód, to — wieści rokrocznie z katedry — z powrotem wróci do Rosji.

Pares nie zna języka polskiego, ale tom jego wspomnień rosyjskich zainteresuje naszego czytelnika przedewszystkiem wzmiankami o rzeczach polskich. Wychowany w tradycyjnych ogniskach nauczania — Harrow i Cambridge — wcześnie zapałał do Rosji owem uczuciem marzyciela i misjonarza.

Po raz pierwszy odwiedził państwo carów w r. 1898, a od r. 1904 do wielkiej wojny rokrocznie spędzał tam po dwa lub po trzy miesiące. Jako nieoficjalny rzecznik idej liberalnych, pełnił misję łącznika między parlamentarzystami angielskimi a rosyjskimi od czasów istnienia Dumy. Na jej terenie postarał się zbliżyć do polityka, którego w II Dumie uważał za najzdolniejszego — Romana Dmowskiego. Miał zwyczaj notować codzień rozmowy, jakie zdarzyło mu się prowadzić z wybitniejszemi osobistościami — materjał ten złożył się obecnie w niemałej wierze na treść „Zapisków". Książka jego odtwarza więc żywo atmosferę owych czasów. Już w pierwszej rozmowie w cztery oczy Pares zapytał Dmowskiego, czy celem jego polityki jest niepodległa Polska, na co Dmowski, jak to z uznaniem podnosi autor-rusofil, „bardzo szczerze" odpowiedział, że tak jest w istocie. Kontakty między przywódcą polskim, a angielskim obserwatorem były następnie częste. Paresowi imponowała szczególniej jasność i męskość umysłu naszego męża stanu. W sylwecie politycznej Dmowskiego upatrywał podobieństwo do Cavoura i Parnella. Na kilka lat przed wojną (w r. 1909?) ogłosił też w „Spectatorze" artykuł p. t. „Cavour polski". - Polityk nasz w rozmowie z Paresem w Dumie nazywał pospolicie Rosjan „Azjatami", ale ta pogarda dla umiłowanego przez Anglika narodu nie przeszkadzała porozumieniu wzajemnemu w kwestji niemieckiej, która w owych latach wysuwała się na czoło zagadnień. Zdawało się, że program polityki polskiej, o ile chodzi o odebranie ziem polskich Niemcom, ma w Paresie przyjaciela. Jednakże gdy w pierwszym roku wojny Dmowski (*„who was nothing if not vigorous"*), przedstawił konieczność wcielenia Pomorza z powrotem do Polski, wywołał w Paresie ów znamienny niespodziewany odruch, o którym czytamy w „Polityce Polskiej" (wyd. I, s. 141). Pares jest właśnie owym niewymienionym tam z nazwiska interlokutorem. Książka Paresa i dzieło Dmowskiego uzupełniają się także tam, gdzie mowa o zabiegach L. Namiera (*recte* Bernsteina), urzędnika *Foreign Office* i autora kłamliwych raportów, pisanych w celu skompromitowania osoby Dmowskiego wobec *Foreign Office*'u. Pamiętnik Paresa przedstawia inny aspekt tej sprawy. Namier informował mianowicie, że Dmowski zajmuje stanowisko w gruncie rzeczy przeciwrosyjskie. Było to na krótko przed wybuchem rewolucji w Rosji. Pares, wezwany na rzeczoznawcę, złożył wyjaśnienia, które przyczyniły się do przywrócenia harmonji stosunków między Dmowskim, a *Foreign Office* — lecz przekonał się wkrótce, iż częściowo padł ofiarą pomyłki! Dmowski bowiem uważał... że Kresy Wschodnie stanowią nierozdzielną część Polski. Ta różnica zdań wywołała przerwanie się kontaktu między Paresem, a Dmowskim.

Powstanie rządu tymczasowego w Rosji zdawało się oblekać w ciało najśmielsze marzenia liberalnego Anglika. Tem cięższym ciosem było następnie nastanie ery bolszewickiej, w której trwałość Pares, pielęgnujący na swem stanowisku londyńskiego profesora stosunki z przedstawicielami liberalnej myśli rosyjskiej (tak np. zorganizował w zeszłym roku wykład Milukowa w *King's College*) — nie umiał dotąd uwierzyć.

Pewien talent narratorski i zmysł dramatyczny w przedstawieniu zdarzeń — zalety cechujące zarówno pisarza, jak profesora na katedrze — czynią lekturę książki (623 strony!) łatwą i przyjemną.

SKOL.

## Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wznowiony dzięki sprężystej inicjatywie prof. Ganszyńca „Przegląd Humanistyczny" rozpoczął pomimo ciężkich warunków wydawniczych szósty rok swego istnienia. Treść nowych zeszytów przedstawia się barwnie i ciekawie, choćby ze względu na samą różnorodność poruszanych tematów. Główną uwagę (co wynika z zasadniczego programu pisma) poświęcono dydaktyce języka polskiego i języków nowożytnych i na tem polu artykuły „Przegl. Hum." okazują naogół znacznie większą inwencję i śmiałość inicjatywy, niż analogiczne artykuły później powstałego „Polonisty". Czytelnika, nie będącego fachowym nauczycielem polonistą (czy wogóle nauczycielem humanistą), interesować będzie szczególnie druga serja artykułów, zawierających rozprawy historyczno-literackie. Na pierwsze miejsce (ilościowo i swem znaczeniem) wysuwają się artykuły poświęcone pisarzom polsko-łacińskim z pierwszej połowy w. XVI. O losie „wydawnictwa poetów polsko-łacińskich" podjętego przez Akademję Umiejętności pisze Z. Dembitzer, z którego wskazówek korzystał niegdyś Kasprowicz, omawiając tłumaczoną przez siebie „Pieśń o żubrze" Husowczyka. Jan Smereka nie poprzestaje na różnych informacjach, dotyczących tychże poetów, ale podaje własne wcale udatne przekłady utworów Jana z Wiślicy i Pawła z Krosna. Największego przed Kochanowskim poetę polsko łacińskiego, Klemensa Janickiego, przyswaja mowie ojczystej M. Jezienicki szeregiem przekładów, które acz mniej barwne od dawnych przekładów Syrokomli, są przecie od nich wierniejsze a samym nastrojem i tokiem wierszy bliższe oryginałowi. Rewelację prawdziwą stanowi artykuł St. Kossowskiego o poemacie Słowackiego „W Szwajcarji"; okazuje się z niego, że w księdze zbiorowej „Po ziarnie", wydanej w Wilnie r. 1861, drukował się tekst poematu Słowackiego o wiele poprawniejszy i dokładniejszy od pierwodruku, zapewne pochodzący z odpisu dokonanego przez kogoś z rodziny Januszewskich, dzięki temu odkryciu stają się zrozumiałemi różne dotąd niejasne miejsca utworu (np. tęcza nie jest „na burzy w parowie", ale „na borze". Drugą rewelację przynosi artykuł K. Jareckiego „Czy świadectwo Boccaccia o podróży Dantego do Paryża jest wiarygodne"? Naprzekór wiekowej tradycji autor na podstawie obfitego materjału daje odpowiedź przeczącą. Aktualny ze względu na niedawną rocznicę listopadową, a w treści przynoszący wiele nowego, jest artykuł S. Zetowskiego o pieśniach powstaniowych „Hymnie" Słowackiego i „Warszawiance" Delavigne'a — Sienkiewicza. Najciekawsze są jednak podane przez tegoż autora wiadomości o pieśni „Jeszcze Polska", dotyczące nietyle tekstu (tym już wyczerpująco zajął się dawniej I. Chrzanowski) ile melodji naszego hymnu narodowego; okazuje się, że pieśń ta była dawniej ujęta w tempo nie mazurka, lecz marsza. Wiadomość ta, jak sądzić należy, odbije się echem szerszem w kołach muzycznych, a może i oficjalnych. — Cenne są w „kronice literackiej" wiadomości o współczesnej literaturze niemieckiej i węgierskiej (Pazurkiewicz); o francuskiej i włoskiej pisano już dawniej, zato dziwi nas brak kompletny literatury angielskiej. Bogata jest kolekcja przekładów (Goethe, Don José de Espronceda, Gustavo A. Becquer, Brentano, Marot, Ronsard, Charles d'Orléans, Möricke, de Vigny, Campanella, Bembo, Bernardo Tasso, Ramajana etc.). Osobna wzmianka należy się arcyciekawym wspomnieniom o genjalnym językoznawcy polskim, Andrzeju Gawrońskim; napisane są bezimiennie, ale ze stylu wolno się domyślać matki ś. p. Andrzeja, utalentowanej pisarki A. Gawrońskiej. (J. B.)

*

Opowiadanie Bengt Berga „Mój skrzydlaty przyjaciel" w przekładzie Antoniego Czekalskiego wydała księgarnia Gebethnera i Wolfa. W literaturze, poświęconej spostrzeżeniom nad życiem zwierząt, jest to opowiadanie o życiu małego ptaka, siewki, w odludnem pustkowiu górskich szczytów Laponji, drobnym klejnotem literackim. Odczuwanie duszy ptaka, wspomagane cierpliwością i delikatnością badacza, wydało w krótkim czasie, bo w ciągu dwóch tygodni, zadziwiający rezultat w kierunku zbliżenia między człowiekiem a ptakiem, przebywającym nie na uwięzi, w klatce, ale w bezwzględnej wolności, wśród dzikiego i posępnego krajobrazu morskiego wybrzeża. Ptak wyzbywa się wrodzonej nieufności i ostrożności. Przyjmuje pokarm z ręki swego opiekuna, autora książki, wysiaduje jajka i wywodzi swe potomstwo. Historję zabiegów o zaufanie ptaka opisuje autor w sposób chronologiczny, drobiazgowy, i urozmaica tę historję licznemi ilustracjami. Ton książki „Mój skrzydlaty przyjaciel" pełen ciepła i miłości przyrody przypomina czarujące dzieła polskich pisarzów, dotyczące tegoż przedmiotu: Adolfa Dygasińskiego nowele i powieści z życia zwierząt, Kazimierza Wodzickiego monografie ptaków i Stanisława Konstantego z Siemiuszowej Pietruskiego studja o hodowli i umiejętności oswajania leśnych i polnych śpiewaków. (A. W.).

## Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Mnożą się naturalnie w chwili obecnej liczne ankiety w Hiszpanji. Młoda bowiem Republika pociąga zarówno polityków jak i imaginację autorów. Jeden z nich właśnie, p. André Lamandé publikuje obecnie w *Editions des Portiques* książkę pod tytułem *„L'Espagne ecartelée"*. Autor, będący doskonałym obserwatorem, opisuje w sposób żywy ścierania się nowych prądów, rozbujałe apetyty republikańskie i wogóle wielką *„inconnue"*, jaką jest przyszłość półwyspu iberyjskiego. Jakie bowiem wpływy w nim zwyciężą: Moskwa czy Rzym? Oto wielki znak zapytania. Hiszpanja jednak, zdaniem p. Lamandé, nie ustali nowego porządku jak tylko przy pomocy *„violence sorelienne"*.

*

*„Marie Galante"* (*Albin Michel édit.*) jest bohaterką patetyczną, ale należącą do środowiska upadłych kobiet. Pod tym względem nie byłaby ona specjalnie ciekawą po tylu innych utworach z tej dziedziny. Autor jej jednak, p. Jacques Deval tak zręcznie, a równocześnie tak prawdziwie przedstawił nam ową Marję jako ofiarę losu, tak głęboko wpoił w serce swej bohaterki miłość do Francji, że to ostatnie uczucie rehabilituje właściwie nieszczęsną dziewczynę.

Przedewszystkiem Marja, przezwana potem Chérie, nigdy nie znała swoich rodziców; zostaje wychowana na wsi, do której się przywiązuje; los jednak sprawia, iż ta wieśniaczka z okolic Bordeaux zostaje przesiedlona do Ameryki Płd. Tam to najpierw jako służąca, a potem już poprostu prostytutka ma tylko jedno jedyne marzenie: zarobić dosyć pieniędzy, by móc powrócić do Francji. Dostaje się wreszcie do Balboa, przy kanale Panamskim. Kwitnie tam szpiegostwo; uprawia je Japończyk Tsamatsui; zajmuje się niem i Niemiec Staüb. Obydwaj zaś chcą pozyskać pomoc Marji, gdyż za pośrednictwem kobiety łatwiej można zasięgnąć informacyj. Policja amerykańska pilnuje jednak ich wszystkich. Marie Galante liczy dolary: Japończyk obiecuje jej tyle pieniędzy za przepłynięcie kanału i zdanie mu potem sprawy z pewnych robót, że jej one wystarczą do powrotu do Europy. Marie podejmuje się z największą naiwnością niebezpiecznej misji. Raz uda się jej przepłynąć kanał; następnym jednak, biedna Marie Galante znaleziona zostanie martwą u brzegu zdradzieckiego kanału. Ale Japończyk dotrzyma obietnicy uczynionej Marji. Po śmierci, we wspaniałej trumnie, ciało biednej dziewczyny dostanie się do Bordeaux, jej rodzinnego miasta, by spocząć raz na zawsze na francuskiej ziemi, którą tak ukochała.

Trzeba było dużo talentu, by z tego tematu trochę policyjno-teatralnego, uczynić temat o pokroju literackim i głębokich akcentach ludzkich. P. Jacques Deval, będący równocześnie autorem dramatycznym, odtworzył jednak w sposób wzruszający *„le mal du pays"*, w sercu nawet niegodnej dziewczyny, ale która przez to samo wykazuje, iż była tylko nieszczęsną igraszką nielitościwego losu (I. B).

# ZE ŚWIATA SZTUKI

Dwa razy żyje artysta. Raz, jak wszyscy śmiertelni, zwykłem życiem, powtórnie — wybraniec — w swych dziełach. Dopóki praca nad dziełem trwa, artysta może je przerabiać i zmieniać, stosownie do zmian, jakie zajść mogą w nim. I tak między twórcą i tworem ścisły istnieje stosunek, autor jest panem, kształtuje rysy płodu w ten sposób, aby każdy poznał rodzica. Z chwilą ukończenia, dzieło idzie w świat między ludzi i odtąd artysta traci nad niem wszelką władzę. Przechodzi ono różnorakie koleje losu: jednych może oburzać, w drugich budzi entuzjazm, czasem spoczywa w pyle zapomnienia, jest pogardzane, by po latach stać się prawdą najbardziej istotną. I to jest właśnie życie dzieła, życie samodzielne, które się objawia w oddziaływaniu. To też gdy umrze prawdziwy artysta, zawsze aktualnem staje się pytanie, czy to jest śmierć tylko fizyczna? Czy wślad za unicestwieniem ciała rychło przyjdzie i pogrzebanie duchownej spuścizny w niepamięci bliźnich? Czy, przeciwnie, rozgorzeje ona płomieniem najświetniejszym, choć sam jej szczodry ofiarodawca umarł może od chłodu serc ludzkich?

Teraz właśnie znów wypada się nad tem zastanowić, gdy pisma przyniosły nam wiadomość o śmierci wybitnego art.-rzeźbiarza Piusa Welońskiego.*) Artysta urodzony w roku 1849, kształcił się w Akademji Petersburskiej i mieszkał potem 20 lat w Rzymie. Żył więc w czasie i obracał się w kręgu wszechwładzy akademizmu. Był też akademikiem w całem tego słowa znaczeniu. Ale ustrzegł się od konwencjonalizmu i sztucznego patosu, cechującego wiele dzieł akademickich. Zapewne dlatego iż posiadał poczucie wyboru tematów właściwych dla swego uzdolnienia i temperamentu. W sztukę swą wniósł za to dodatnie cechy akademizmu: nieposzlakowaną formę i znakomitą znajomość rysunku. I dzieła jego, spokojne w swej doskonałości, nie były poszukiwaniem nowych dróg, nawet w zaraniu swego istnienia. Oparte na tradycji, wyhodowane w atmosferze kultury łacińskiej, nie niosły nigdy dreszczu rewelacji, ale też zapewne nieprędko staną się przeżytkiem. Nie zaznały zmiennej łaskawości losu na przestrzeni swego istnienia, płomień ich żywota nie przepali zapewne naszych serc, lecz będzie gorzał równo, spokojnie i długo.

Zachęta posiada trzy prace Welońskiego: marmur „Kalinę" i 2 bronzy: „Gladjotora" i „Prometeusza".

*

Polski Klub Artystyczny urządził wystawę książek i wydawnictw artystycznych tragicznie zmarłego Jakóba Mortkowicza, dla uczczenia jego zasług jako wydawcy. Zgrubsza rzecz biorąc księgarstwo jest handlem, a księgarz kupcem. Gdy ma ambicję jednak, może się stać kimś o wiele większym w hierarchji naszego szacunku. Nie objekt pracy, ale jej pojmowanie stanowi tu o różnicy. Między sprzedawcą szelek, a wydawcą Pitigrillego w istocie niema wielkiej różnicy. Lecz jest przepaść ogromna między dwoma wydawcami, z których jeden zajmuje się Pitigrillim, a drugi czas, zapał i pracę poświęca wydawaniu Stryjeńskiej. Jakób Mortkowicz, wydawca najpiękniejszych w Polsce reprodukcyj z obrazów Stryjeńskiej, całe życie poświęcił umiłowanej przez się pięknej książce. 25-letnią bezmała działalność na tem polu Zmarłego dobrze przedstawia wystawa, urządzona z wielkim smakiem. Nie w sposób wyliczać dzieł wszystkich. Ograniczymy się tylko do najważniejszych. A więc przed wojną wspaniałe wydanie Norwida, opracowane graficznie przez klasyka naszego drukarstwa, A. Półtawskiego. Przeprowadzona tu próba uwydatnienia treści zapomocą doboru i zestawienia rozmaitych czcionek (kursywy, wersalików, tekstowych) jest pierwszą u nas i po dziś dzień aktualną. Po wojnie lwią część produkcji wydawniczej poświęca sztuce polskiej i wydaje w zeszytach: „Polskie malarstwo współczesne", „Sztukę ludu w Polsce" i najpiękniejsze, nie mające dotąd sobie równych u nas plansze facsimiljowe odtwarzające w światłodruku najcelniejsze dzieła współczesnej sztuki naszej (5 zeszytów). Reprodukuje również w światłodruku cykle Stryjeńskiej: „Na góralską nutę" (2 pl.), „Obrzędy polskie" (6 pl.) i „Gusła Słowian". Są to najlepsze

*) Ponieważ pisma codzienne podały już życiorys Zmarłego, nie uważamy za potrzebne dawania go w tygodniku.

reprodukcje dzieł Stryjeńskiej w Polsce i wogóle najlepiej wykonane ilustracje w naszym dorobku wydawniczym.

„Nic nie jest rzadsze u nas, niż śmiała inicjatywa“ pisał kiedyś Miciński — i śmiałą próbę, ilustrowania książek wytwornych z oryginalnemi drzeworytami i akwafortami naszych rytowników, podjął właśnie Mortkowicz. Skoczylas tnie klocki do dzieł Żeromskiego i Kasprowicza, T. Cieślewski syn zdobi swemi akwafortami książkę Or-Ota o Starem Mieście (jest to chyba jedyne wydawnictwo tego rodzaju u nas). Dział wystawy p. t. „Wydawnictwa nieukończone“ — słowa pełne wymownej i tragicznej treści — prezentuje nam b. piękną kartę tytułową i drzeworyty Mrożewskiego do Don Kichota. Trudno o szczęśliwszy i trafniejszy wybór grafika do ilustrowania arcydzieła Cerwantesa! Tu również znajdujemy ilustracje Sichulskiego do „Dumy o hetmanie“, karty próbne „Lauru Olimpijskiego“ Wierzyńskiego, (udatnie dobrana tłusta czcionka).

Na przeciwnej ścianie wiszą fragmenty oddawna oczekiwanej z niecierpliwością książki: „Drzeworyt ludowy w Polsce“ Wł. Skoczylasa.

Pozatem pracował tu w charakterze ilustratorów szereg wybitnych artystów. Bartłomiejczyk (ślicznie tłoczone „Popioły“). Borowski, Boruciński, Kamiński. Niedawno ukazała się również w niewielkiej ilości egzemplarzy książka, zawierająca oryginalne odbitki prac najwybitniejszego współczesnego ekslibrisisty, St. Ostoji-Chrostowskiego.

Oto suchy i częściowy zaledwie, lecz jakże wymowny wykaz. W interesie kultury polskiej życzyć należy, aby rozpoczęte cenne wydawnictwa mogły być ukończone.

*

Nie trzeba być zbytnio wścibskim i dochodzić, w jaki to sposób architekci stali się grafikami; stoimy przed faktem: wystawą grafiki reklamowej Związku Słuchaczy Architektury i chodzi tylko o to, czy wystawa jest dobra, czy nie? Ponieważ na architekturze tego ich nie uczą, więc wyniki są rezultatem pracy samodzielnej, i rozglądania się, co też na bożym świecie w tym zakresie się dzieje, rozglądania się, trzeba przyznać, czasem zbyt gorliwego. Niewiele sobie liczy lat grafika stosowana, a już obejść się bez niej nie możemy, zajmuje ona w życiu współczesnem miejsce coraz ważniejsze i wpływ swój rozszerza na sztuki inne. W zasadzie należąc do sztuki czystej (zwrot niezbyt szczęśliwy, ale niema innego) staje się pomostem między nią, a właściwą sztuką dekoracyjną (tak dziś nazywamy dawną sztukę stosowaną). Obraz ma być piękny i na tem sprawa się kończy, krzesło również musi być piękne, ale jeżeli na niem usiąść nie można, to co komu po takiem krześle? Plakat natomiast, który w istocie jest obrazem i jako taki winien zadość uczynić wymaganiom estetyki, musi pozatem, w odróżnieniu od obrazu, odpowiadać swemu przeznaczeniu, choć nie jest przedmiotem, jak krzesło i wogóle wszelkie twory sztuki dekoracyjnej. Udając, jak i obraz, jakąś rzeczywistość, przez swą utylitarność staje się zarazem dziełem sztuki dekoracyjnej. I jeszcze jedna bardzo ważna różnica. Do obrazu widz przychodzi, plakat (i t. p.), odwrotnie, — przychodzi do widza, trafia do niego, narzuca mu się, zwraca jego uwagę. Stąd specjalny charakter tej gałęzi plastyki. Wszystkie rodzaje grafiki użytkowej polecają jakiś produkt lub wytwór, język graficzny tego reklamowania uzależnia się od warunków, w jakich ono występuje (czas i miejsce). Nikt np. nie mieszka na ulicy, przejeżdża się przez nią, lub przechodzi, zwykle gdzieś śpiesząc, a więc plakat uliczny musi być lakoniczny, z krótkim napisem i wyróżniać się wśród tysiąca innych rzeczy, znajdujących się obok. Inaczej znowuż może być pojęta ulotka reklamowa, oglądana zbliska i trzymana w ręku przez pewien czas

Koncepcja, ujęcie, bardzo wiele znaczy w sztuce, a tembardziej tutaj. Pomysł, który w sztuce sięga do wyżyn idei, może być tylko dowcipem. Ale wiadomo, że i o dobry dowcip trudno. Naturalnie powinien to być dowcip plastyczny, a nie literacki. Dowcip, podany w pierwszorzędnej formie graficznej—oto istota grafiki użytkowej.

Uwagi powyższe ułatwią zorjentowanie się czytelnika w terenie, jaki ewentualnie ma zwiedzać. Trzeba przyznać, iż prace wystawione odpowiadają naogół wymienionym warunkom, są to rzeczy kulturalne, słabych prawie się nie widzi. Natomiast rzadko spotykamy się z koncepcją, któraby nas wzięła swą odrębnością i dlatego opinję czasopisma „Reklama“, iż ta grafika „ma własne, śmiałe oblicze, wolne od wszelkich obcych naleciałości“, należy uważać za conajmniej przesadną. Mimo olbrzymiego rozwoju tej gałęzi sztuki w ostatnich latach, na wystawie plakaty Gronowskiego zawsze jeszcze wyróżniają się świeżością ujęcia i perfidną precyzją techniki. Wśród fotomontaży siłą lakoniczności, uzasadnionej kompozycyjnie, przemawia do nas praca M. Chojnowskiego „Uśmiech losu“.

Wystawa jest bardzo dobrym pomysłem, gdyż ukazując razem dzieła zwykle rozproszone, których odbitki w życiu zazwyczaj ulegają zniszczeniu, podniosła je w oczach szerszej publiczności do godności sztuki.

*

Każdy zeszyt „Sztuk Pięknych“ jest tak pomyślany, aby stanowił całość samą w sobie. Zachęca to zapewne i innych, poza stałymi prenumeratorami, do kupna pojedyńczych numerów. Nr. 8-9, za sierpień-wrzesień, powinien liczbę tych przygodnych nabywców zwiększyć stokrotnie, ściślej rzecz biorąc, stać się własnością każdego, komu sprawy polskiej sztuki nie są obce. Przynosi on bowiem liczne i świetne reprodukcje dzieł (wraz z artykułami) dwu stuprocentowych polonusów: Piotra Michałowskiego, bujnej indywidualności, postaci iście renesansowej i największego naszego rzeźbiarza doby obecnej — Dunikowskiego. Twórczość obu wielkich artystów, poza epoką, tak przepastnie różna, to nieprzebrana skarbnica polskości. Jak bogata jest dusza polska, iż wypełnić może sobą przestrzeń (nie w czasie) dzielącą obu twórców! O Michałowskim wyczerpująco informuje p. Helena D'Abancourt De Franqueville; praca jej jest fragmentem mającej się ukazać monografji. Dr. Mieczysław Treter, pisząc o Dunikowskim, daje wzór charakterystyki, lapidarnej i pełnej treści, starając się o dobór najwłaściwszych określeń dla uwydatnienia indywidualności artysty. Troska tego rodzaju, którą można uważać za najodpowiedniejszą formę wyrażenia przez krytyka hołdu artyście, staje się dziś coraz rzadsza.

Zeszyt uzupełnia bogata, jak zwykle kronika i ozdabia kolorowa rotograwiura z obrazu Michałowskiego „Utarczka“.

W. P.

# OFENSYWA

## *FEBRIS MENDALIS*

PRASA informuje, że jak tradycyjnie każdego roku, tak i teraz, przed 13-ym listopada, wyciągnięto z betów „uczonego“ J. Kochanowskiego, zdjęto zeń szlafrok i szlafmycę, nałożono czarny surdut i znów zawieziono na naradę doroczną.

Groteskowa postać jest bowiem wielkim mistrzem Kapituły jakichś odznaczeń i ma sprezentować znów owoce swej całorocznej pracy naukowej, tj. listę typów, którzy mają być w tym sezonie zaszczytnie obwieszeni.

Innych zmartwień pan Kochanowski Komandor więcej na razie niema.

O tej obłędnej orderomanji sanackiej pisało niedawno prorządowe wileńskie „Słowo“:

„Jednym z najbardziej charakterystycznych przejawów demokratycznego szukania gruntu pod nogami jest nagminnie rozpowszechniona herbo-ordero-tytułomanja. Nigdy, od czasów legendarnego Kraka nie było takiego, jak obecnie, popytu na sygnety herbowe (*made in* Nalewki), nigdy archiwa państwowe nie miały takiego utrapienia z manjakami-poszukiwaczami swych herbów, przodków i majątków, nigdy w dawnej szlacheckiej Rzeczypospolitej nie miał Polak na swej piersi takiej zdumiewającej ilości gwiazd, krzyży, medali i odznak i nigdy tak się nie tytułował“.

I tak jest istotnie. Widzi się teraz często w miejscach publicznych gębusie i frace wcale wredne i wulgarne, których właściciele wyciągają przed siebie nie tyle ręce, nie tyle łapska, ile wprost odnoża górne, gdzie na grubych parobasowatych palicach widnieją jakoweś sygneta a to „Półkozice“, a to „Ślepowrony“, zafundowane sobie przez osobników inkryminowanych w narożnych antykwarniach lub zgoła u zegarmistrza czy też na licytacji. Spauperyzowana szlagonerja wyprzedaje już wszystko, co może, a to ryngrafy, a to koralc, a to nawet sygnety rodzinne. Kupują zaś to obecnie nie żydzi, nie mechesy, nie Nuworyszkowscy i Nowobogaccy a nowa szlachta Napoleońska, te wszystkie dawne Wrony, Kurzydła, Kapelnery, Neugebanery i tp. co to sobie nazwiska dla niepoznaki pozamieniały na Wołodyjowskich, Skrzetuskich, Norwidów, Podbipiętów, Niepołomskich, Grażyńskich. Mają już do dyspozycji Pacquardy i Limuzyny, mieszkają po pałacach, jeżdżą z wizytami do Nieświeża, zapraszani przez „obszarpaników“ na polowania, tylko im jeszcze do szczęścia takich sygnetów brakowało. Teraz przyszła moda na herby. Bywają już na Derby, więc muszę mieć i herby. Więc ten i ów Bebesyn funduje sobie sygnet z pierwszym lepszym „Korwinem“ lub „Pilawą“, zatyka na paluch i paraduje.

Orderów to już mają poprostu wbród i takich różnych mendali, gwiazd, gwiazdek, odznak, blaszek, krzyżyków, znaczków po kilkadziesiąt. Są tacy, co nowe blaszki zawieszają poniżej pępka. U innego zachodzą pod pachę. W M. S. Z. są tacy bubkowie, co się i uginają pod ciężarem bałkańskich i bałtyckich. Redaktor „Polski Zbrojnej“ pan Everth dźwiga pono dwa kila, tenor Dygas półtrzecia, Orlot półtora kila, arcymistrz Kapituły Kochanowski kilo i trzy ćwierci.

Twardo bardzo o tem sypaniu orderami na prawo i lewo, wprzód i w tył, wyraził się w wywiadzie z „Kurjerem Czerwonym“ angielski pułkownik Whitman, kiedy był na zjeździe FIDACU:

„Jesteście tak grzeczni, że nawet przejezdnym wybitnym cudzoziemcom szczodrze rozdajecie swoje ordery. A jest to niesłuszne, bo order danego państwa należy zdobyć za rzeczywiste zasługi dla tego państwa. Sam fakt przejazdu przez Polskę nie jest chyba dostatecznym powodem....Więc otrzymujemy wasze ordery i chowamy do biurek. A tego być nie powinno“.

Chowają nasze ordery do biurek. Szafuje się bowiem temi blachami i na eksport z taką rozrzutnością, że cudzoziemcy wprost żenują się nosić niezasłużone niczem hockiklocki i kotyljonowe fatałaszki. Pod względem masowego obwieszania siebie i obwieszania gości temi orderkami, doszliśmy już do ostatnich rekordów ordynarności, nietaktu złego smaku i barbarji. Tylko jeszcze murzyni, i to z pewnych okolic Konga, nawieszają na siebie tyle barwnych muszli i starych guzików od portek. Dość często widzi się takiego syna Marsa i Wenery, kupującego w sklepie salceson za 65 groszy, musztardy za 40 i dwie bułki, a tego wszystkiego orderów, odznak i gwiazdeczek telepie mu się i brzęczy ze czterdzieści sztuk, jedna przy drugiej jak... jak obsiał...

Z tramwaju czasem wysiada taki Papkin, a pierś walecznika obsypana, jakby przyjechał wprost z Costarica lub Honduras.

Bardzo poważni ludzie i to Imperatorowej Sanacji wierni poddani, bywało, że zwracali już na to uwagę, jako że to nie w złym ale najgorszym guście jest i dawne operetki bałkańskie przypomina. I nic nie pomagało. Cudzoziemcy z tych orderów na kila kpią sobie na funty. I nic nie pomaga. Hałaciarzowie na Nalewkach, gdy taki Bombardjer przychodzi i ogórek kiszony kupuje, w nos mu się podśmiechują. I nic nie pomaga.

Jak zaś już moda na mendale w sanacyjski naród się wżarła, tak jej już żadnem szarem mydłem nie wymyje. Kuchtom, dryndziarzom i domowym stróżom czyli dozorcom to podobno imponuje. Więc nadal blaszki w modzie a w narodzie Kochanowski „uczony“ za to, że chociaż *tempore belli* endek zatracony, ale potem w porę się wyparł, Kochanowski „uczony“ dwa razy na rok z betów wyciągany jest i listę lizusów prezentować musi.

Niektóre obserwatory twierdzą, że jak tyle choróbek i przypadłości, tak i ta *felbris mendalis* także z Południa na Polskę poszła.

Rzecz takowa nie jest jeszcze roztrzygnięta.

Że atoli hipoteza pewne szanse słuszności mieć może, dowodem ogłoszony niedawno niniejszy dokument:

—„Starosta powiatowy limanowski Nr. A—IV—2—33/930. Akcia rozpowszechniania medali pamiątkowych Dziesięciolecia zwycięskiego odparcia najazdu Rosji Sowieckiej.

Bardzo pilne.

Limanowa, dnia 24.I. 1931.

Do wszystkich wielebnych urzędów parafjalnych w powiecie.

Komitet obchodu dziesięciolecia zwycięskiego odparcia najazdu Rozji Sowieckiej, pod protektoratem Pana Prezydenta Rz. P. w Warszawie, zwraca się z gorącym apelem do społeczeństwa o rozpowszechnianie pamiątkowych medali Dziesięciolecia zwycięskiego odparcia najazdu Rosji Sow. Wzmiankowane (!) medale bite są przez mennicę państwową w bronzie i srebrze — przedstawiają płaskorzeźbę pana marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego, na przeciwnej zaś stronie medalu wygrawirowana jest mapa Polski z napisem: „Genjuszem Wodza — Męstwem Żołnierza — Wysiłkiem Narodu“. Dla poparcia powyższej akcji zapraszam uprzejmie WPana do zakupienia opisanago medalu. Jednocześnie zauważam (!), iż cena medalu wybitego w bronzie, wynosi 10 zł., zaś w srebrze 50 zł. Równocześnie zwracam się w tej sprawie do WPana (Przew. Księdza), aby zechciał łaskawie przyczynić się w swojej działalności do jak najszerszego rozpowszechnienia wspomnianych medali pamiątkowych. Zgłoszenia zakupna i przypadającą gotówkę proszę do dnia 3 marca 1931 r. kierować do starostwa i t. d.

Podpisano: starosta powiatowy (—) dr. Müller.

Müller. Doktór Müller. Limanowa. Lodomerry. Bardzo mu pilne... „Zauważa“, że w bronzie 10, w srybrze 50 złociszów. Adres dany. „Wzmiankowanych medali“ jeszcze pełna beczka. Może braknąć. Śpieszcie się!

ADOLF NOWACZYŃSKI

# NA MARGINESIE

Wielbiciele szpady i tradycyjnych pojęć o honorze w obozie „sanacji“ nielada mają kłopot ze sprawą Brześcia. W publicystyce tego obozu najpierw nie uwierzono wieściom o prześladowaniach. Potem oświadczono, że to sprawa ciężka, ale dla solidarności klubowej w sejmie poparto tezę, że „sadyzmu nie było“. Dziś usiłuje użyć się sumieniom napaściami na więźniów brzeskich („Baranki przed sędzią śledczym“, — p. „Słowo“ sanacyjne z Wilna).

*

Bohun w pojedynku z Wołodyjowskim przerzucał szablę z ręki prawej do lewej. Stokroć ciekawszą jest sztuka szermiercza publicystów „sanacyjnych“, przerzucających naprzemian.. szpadę i widły.

*

Jak donoszą dzienniki, sanacyjny „Legjon Młodych“ nareszcie znalazł pole dla swych „mocarstwowych“ ambicyj, występując czynnie po stronie żydów w zatargach, jakie powstały między młodzieżą polską i żydowską na uniwersytecie warszawskim z okazji niedostarczania trupów żydowskich do prosektorjów. Zdarzenie drobne, ale mające w sobie coś z symbolu. Czy bowiem mielibyśmy dziś w Polsce taką „mocarstwowość“ taką „silną rękę“, taki „porządek“, gdyby nie interesy trzech miljonów żydów w Polsce, które domagały się ochrony i przywilejów?



NAD BAŁTYK
CZY NAD
CZARNE MORZE
NAJPRĘDZEJ
PRZYBYWAJĄ
PASAŻEROWIE—POCZTA—TOWARY
SAMOLOTAMI
POLSKICH LINIJ
LOTNICZYCH

PODSTAWOWE DZIEŁO HISTORYCZNE
*MARJANA SEYDY*
POLSKA
NA PRZEŁOMIE DZIEJÓW
FAKTY I DOKUMENTY.

Tom I: Od wybuchu wojny do zbrojnego wystąpienia Stanów Zjednoczonych. — — — Str. 663. — — —
Tom II: Do końca wojny. — — Str. 666 i mapa. — —

Poznań 1927-1931
Nakład księgarni
św. Wojciecha.

Cena obu tomów zł. 48 (22 i 26)

Do nabycia
we wszystkich księgarniach.

NAKŁADEM TOW. WYD.
„PATRIA"
SPÓŁDZ. Z ODP. UDZ.

WYSZŁY KSIĄŻKI:

*Joachim Bartoszewicz*
*ZAGADNIENIA POLITYKI POLSKIEJ*
CENA 3 ZŁ.

*Zygmunt Wasilewski*
*PIEŚŃ W GÓRACH*
CENA 5 ZŁ.

*Jan Gwalbert Pawlikowski*
*SPOŁECZNO - POLITYCZNE IDEJE SŁOWACKIEGO W DOBIE MISTYCYZMU*
CENA 4 ZŁ.

*Stefan Godlewski*
*WARSZAWA*
CENA 5 zł.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.
Skład główny w Domu Książki Polskiej.
w Warszawie, pl. Trzech Krzyży 8

**AKTUALNE!!!** **AKTUALNE!!!**

*JÓZEF STARYSZAK*

PRAWO NADZORU NAD ADMINISTRACJĄ SAMORZĄDOWĄ W POLSCE

Z PRZEDMOWĄ
BOHDANA WASIUTYŃSKIEGO
PROFESORA PRAWA ADMINISTRACYJNEGO
UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO.

Stron 160+10 literatur i źródła.
Cena 10 zł., porto 1 zł.
Konto P.K.O. 3892.

Praca ma charakter krytyczno-dogmatyczny, zasadnicze pojęcia ujmuje ze stanowiska doktryny i jurysprudencji Najwyższego Trybunału Administracyjnego. Samo zagadnienie jest wielce aktualne z uwagi na projekty ustawodawcze w tej materji, jak i stosunek państwa do samorządu: system policyjny, czy praworządny.




Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.